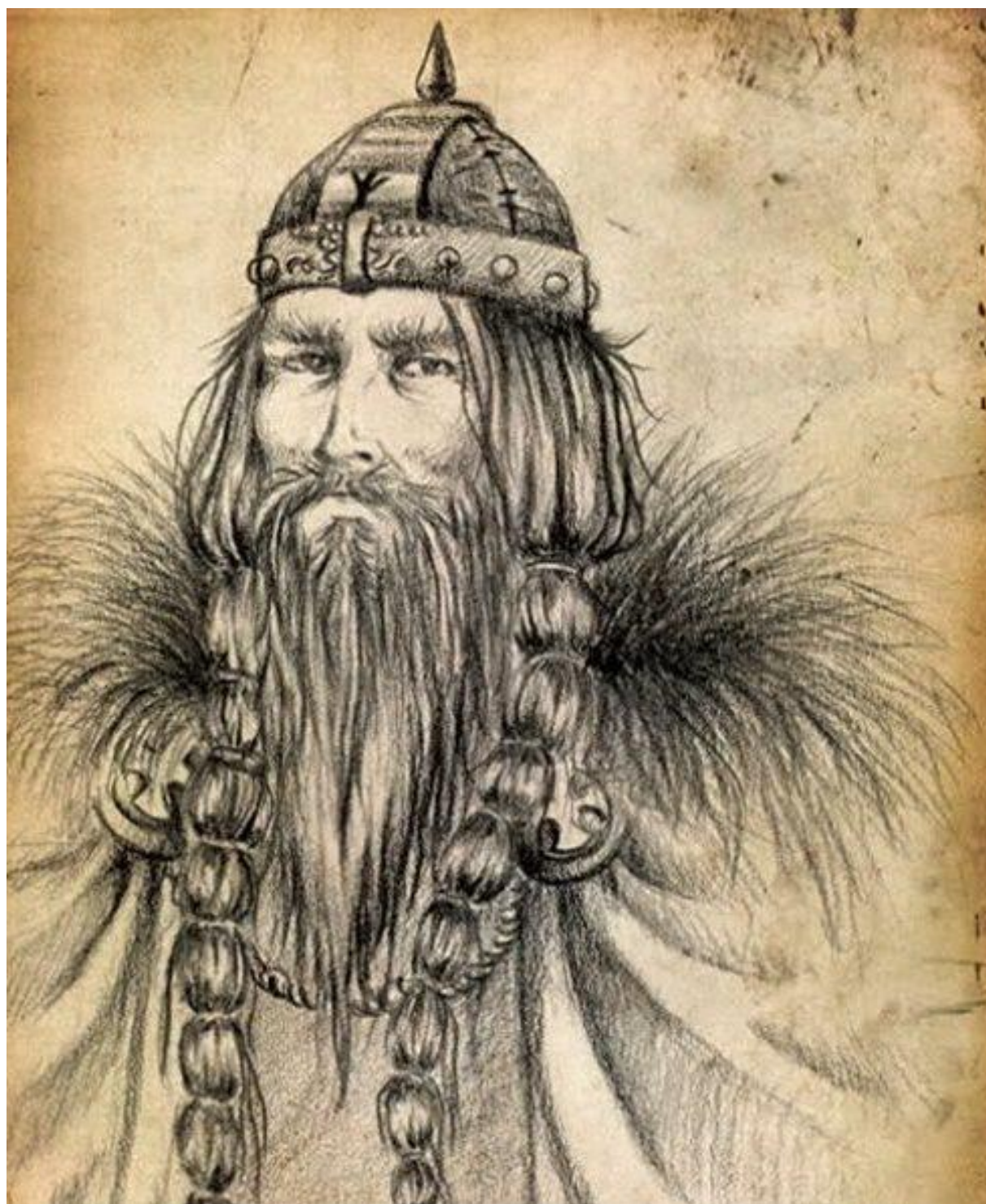


WIKINGOWIE.



1

**Nie taki diabeł straszny, jak
go (czasem) malowano.**

Piotr. H. „baron”

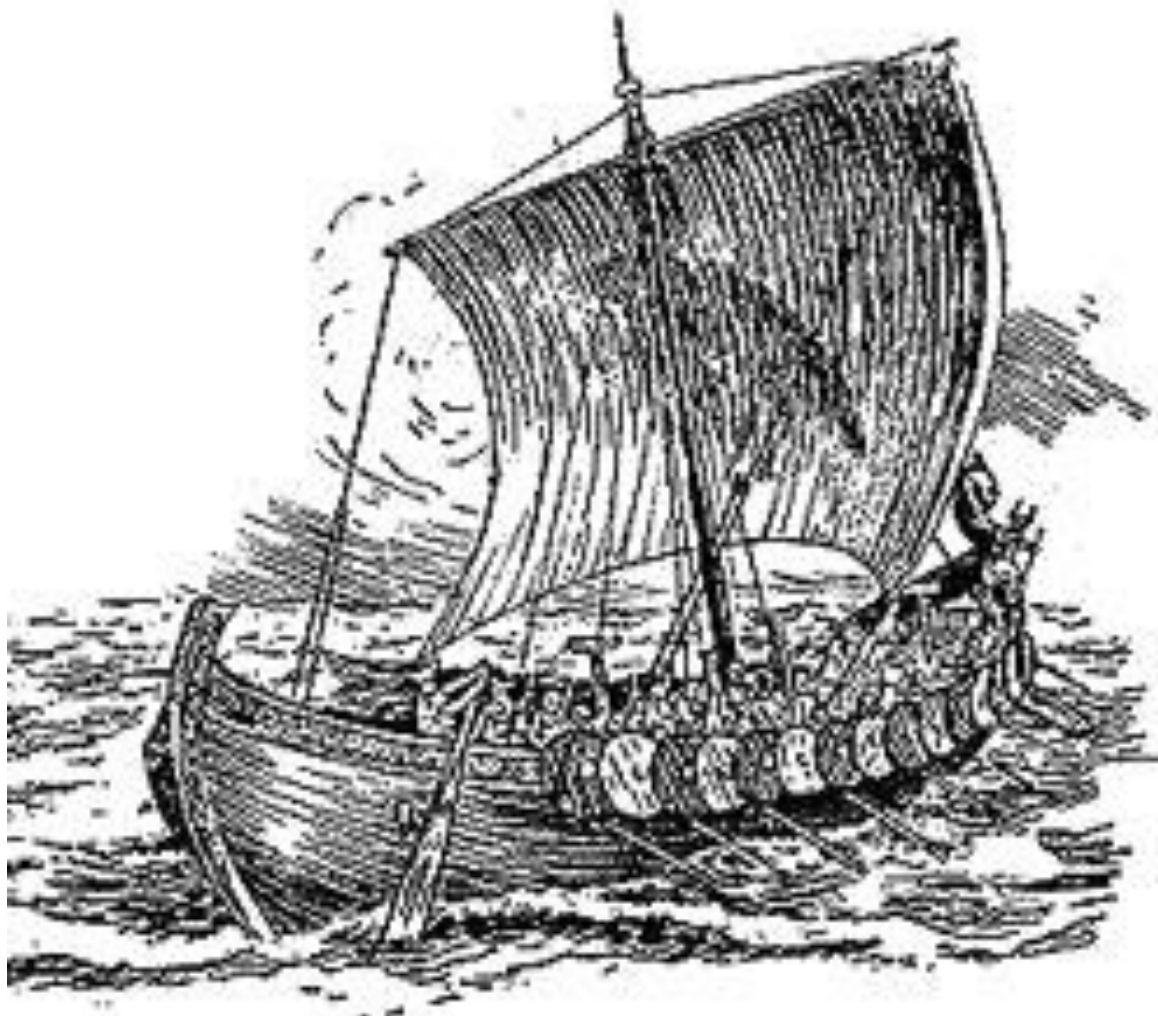
Na okładce: Harald Sinozęby; Christian Krogh („HEIMSKRINGLA”, wyd. norweskie 1899)

© Piotr H. „baron”™, 2018

Wydanie I opublikowane na stronie internetowej Piotra H. „barona”

www.ludzie-honoru.jimdo.com

2



Łódź Eryka Rudobrodego płynie ku nowym ziemiom; rycina Christiana Krogha z 1902 (z: Saga o Grenlandczykach, Oslo 1909)

Spis treści

Christian Krogh nadaje Wikingom ludzkie twarze.	5
Sagi. „HEIMSKRINGLA” i nie tylko.	8
Wikingowie a’la Kraszewski.	12
Wikingowie u Piastów.....	15
Wojownicy bez trwogi.....	18
Żeglarze... ..	24
...i odkrywcy.	26
Szcutnicy.	29
Ekonomiści?!:)	32
Słowiańskie baranki czy wilki?	36
Wikińsko-słowiańska dusza... ..	39
Król Harald.	41
Gdzie dwóch się bije... ..	48
Håkon (Haakon, Haakan) Sigurdsson (Sigurds(s)en).	54
Wielka wojna w świecie Wikingów. Harald kontra Håkon....	59
Mieszko sięga po stare idee.....	63
Zjednoczyciele i państwowotwórcy.	69
Zmierzch bogów.	71



Nicolaus Rörich „Waringowie u wysp greckich” (1886).

Christian Krogh nadaje Wikingom ludzkie twarze.

Tytułową kartę przyozdobiłem portretem Harald Sinozębego, króla Danii z czasów Mieszka I, było nie było jednego z największych Wikingów tamtej epoki oraz wikińską łodzią. Obydwa autorstwa Christiana Krogha. Jego obrazy jeszcze nie raz pojawią się w tej opowieści. Bo malował postaci, z których każda w wikińskim świecie była kimś ważnym. Coś znaczyła.

Christian Krogh... Kim był? Najłatwiej powiedzieć – Norwegiem. Z pewnością był człowiekiem rozmiłowanym w wikińskim świecie, który poznał z wieczornych opowieści dziadka albo babci o starych, dobrych czasach... Malarzem. Dziennikarzem. Nauczycielem. Pracownikiem poczty. Różnych zawodów się imał z gorszym czy lepszym skutkiem, prędzej czy później wracając do malowania. Zaczynał od tego, co znał doskonale i on, i chyba wszyscy Norwegowie – od Wikingów. Tych, których imiona przetrwały w opowieściach tysiąc lat, a w których istnienie „nauka” mocno powątpiewała...



W 1913 roku, zafascynowany fotografią, kazał powiększyć zrobione mu w jego atelier zdjęcie i, właśnie węglem, ołówkiem, kredą i tuszem namalował swój własny autoportret.

Ten właśnie autoportret wybrał do przedmowy Erik Jorgsson, redaktor norweskiego jubileuszowego wydania „Heimskringli” z roku 1999.

Oryginał obrazu w Muzeum Christiana Krogha w Oslo.

Zaczął dość wcześnie, ale też i pora była po temu stosowna. Chodził wówczas do gimnazjum (czyli odpowiednika dzisiejszego liceum), miał 18 lat. Czas był gorący, burzliwy. Norwegowie coraz głośniej mówili o swej odrębności narodowej od Szwedów, zaczęli domagać się niepodległości (do 1905 roku Norwegia była częścią Królestwa Szwecji). Mający najprawdziwszą

smykałkę do rysowania chłopak postanowił włączyć się do walki o niepodległą Norwegię tak jak umiał najlepiej. Węgłem, ołówkiem, kredą i tuszem, choć deską i dłutkiem (a na początku był to ponoć zwykły scyzoryk) też nie gardził.

Krogh naszkicował kilkadziesiąt postaci znanych mu, i chyba większości Norwegów, mniej czy bardziej legendarnych, a jak się niebawem okazało – absolutnie rzeczywistych postaci wikińskiego świata. Jak sam powiedział lata później w wywiadzie, nie miał pojęcia, jak tamci ludzie mogli wyglądać. Całe wakacje chodził do portu szukając ludzi żyjących tak, jak przed tysiącem lat. Rybaków. Szkutników. Albo w góry, do pasterzy reniferów, drwali, rolników. Zapamiętywał ich sylwetki, szkicował portrety ... To oni, zwykli prości ludzie stali się „twarzami historii i świata Wikingów”.

6



W roku 1897 Christian Krogh namalował cykl obrazów „Żeglarze”- na jednym z nich wystąpił w roli „rybaka wybierającego żagiel”.

Zdjęcie Per Hanne Lundquista (1984) pobrane ze strony internetowej Muzeum Christiana Krogha w Oslo.

Jesienią 1871 roku pokazał swoje prace nauczycielowi rysunku. Ten – dyrektorowi szkoły i stało się. Gimnazjum zrobiło z tych prac wystawę, poczta pantoflowa zrobiła jej reklamę lepszą niż „paszkwil na zamówienie”, którym oficjalna i prorządowa (czytaj pro-szwedzka, czyli – po naszymu – okupacyjna) prasa starała się wystawę zniszczyć twierdząc, że ten niedorosły artysta-malarz, bez fachowego warsztatu, a do tego beztalencie, raczej powinien pójść na murarza albo do innego pożytecznego dla społeczeństwa zawodu.

Wystawa odniosła wielki sukces. Mieszkańcy Oslo stali w długich ponoć kolejkach, czekając na zakończenie lekcji w szkole i otwarcie jej drzwi dla chcących wystawę obejrzyć. Bo tylko tam mogli w 1871 roku obejrzyć znane im z ich ludowych opowieści postaci.

Czemu stało się to akurat w roku 1871? No cóż, odpowiedzi należy szukać poza Europą. W roku 1870 niemiecki kupiec i obieżyświat Johann Ludwig **Heinrich** Julius **Schliemann** rozpoczął poszukiwania homeryckiej Troi na wzgórzu w pobliżu wioski Hissarlik w Turcji. Dlaczego akurat tam? Znał „Iliadę” na pamięć, nie tylko po niemiecku ale i w greckim oryginale. Jeździł po wybrzeżu Azji Mniejszej wszędzie tam, gdzie Troja powinna być i szukał wzgórze, które pasowałyby opisom Homera. Ponoć dwukrotnie wracał do tego miejsca, aż w końcu powiedział „**To musi być tu!**”. Bez kopania znalazł ruiny czegoś bardzo, ale to bardzo starego. Wprawdzie naukowcy z Paryża, ówczesnej stolicy naukowej archeologii i wiedzy o starożytności kpili, że ten „kupiec bez krzty naukowej wiedzy”, który uważa baśniową opowieść Homera o Troi za prawdę, podważa powagę naukowych autorytetów i utopi zarobione miliony na szukaniu wiatru w polu, ale ich dogmatyzm miał niebawem runąć. Schliemannowi wystarczyło usunąć porastające powierzchnię wzgórze krzaki i trawy, aby zaczęły ukazywać się kolejne fragmenty ruin. W 1871 roku spod piasku wyjrzało wielkie, potężne niegdyś miasto a świat archeologiczny zaniemówił. Oto bowiem okazywało się, że Homer opisał prawdę. Ruiny były dokładnie tam, gdzie według dawnych przekazów leżała Troja!

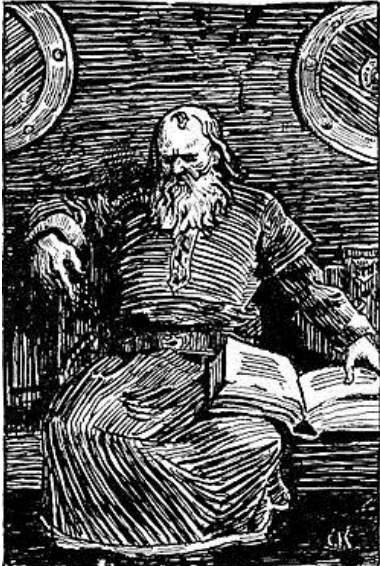
Mówi się „uderz w stół, a nożyce się odezwą”. Trudno powiedzieć, kto dokładnie wpadł na ten pomysł, ale nagle wśród Norwegów i Islandczyków pojawiła się myśl, że może w takim razie historie spisane runami w sagach i też uważane w świecie naukowym za baśnie, są równie prawdziwe? Naukowcy, dziennikarze i studenci zaczęli jeździć po Europie, odszukiwać, czyścić i odczytywać pokryte runicznymi znakami stare kamienie, zaczęli przeszukiwać archiwa kościelne i... okazało się, że pominąwszy wikingów każda z opisywanych w sagach postaci królewskich czy książęcych (jeśli tak tłumaczyć sobie słowo jarl) była, żyła i zapisała się w historii Europy. Oczywiście w taki sposób, w jaki zapisywali się władcy – traktatem albo wojną. Od północnych Niemiec po Islandię zaczęło się badanie życiorysów tych opisanych w sagach postaci, a Chrystian Krogh, choć młodziutki, należał do grona rysowników i malarzy, którzy tym dotychczas mitycznym postaciom zaczęli nadawać ludzkie twarze.

Krogh odegrał podobną rolę w Norwegii jak Jan Matejko w Polsce. Wiemy, że podobizny władców ujęte w serii „Poczet królów i książąt polskich” nie są choćby zbliżone do oryginałów. Podobnie stało się z portretami autorstwa

Krogha. Nie ukrywał, że to „tylko jego wyobrażenie”. Jest coś jeszcze, co Krogha i Matejkę łączy. „Poczet” Matejki w oryginale także jest czarno-biały...

Sagi. „HEIMSKRINGLA” i nie tylko.

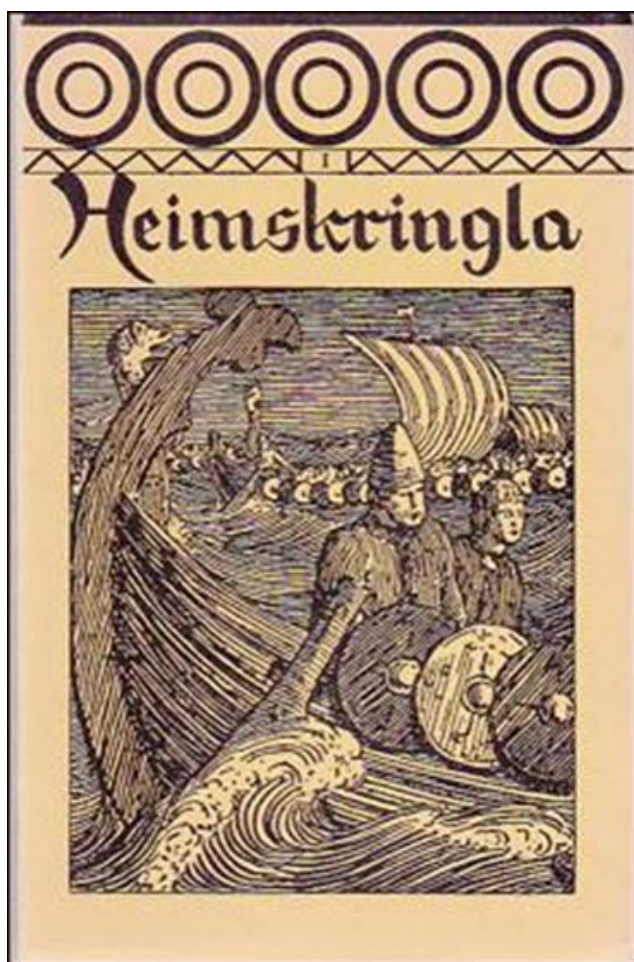
Możemy im tylko zazdrościć!



Im. Duńczykom, Norwegom, Islandczykom i, choćby w części, Szwedom. A to za sprawą Snorriego Sturlussona (albo Sturlasona; 1179? - 1241), islandzkiego poety i historyka, który przez pół swego życia jeździł po świecie Wikingów, odnajdywał historie spisane runami, czasem wyryte w kamieniu, czasem w drewnie, czasem przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie, aż w 1225 roku wydał dzieło swego życia. Heimskringla. Kroniki królów.

Tak sobie Snorriego Sturlussona wyobrażał Christian Krogh. Ilustracja z „Sagi o Grenlandczykach”.

HEIMSKRINGLA. 16 sag. Opowieści, ułożonych wierszem w oparciu o wszystkie odnalezione przez Snorriego przekazy. Spisanych zgodnie z pieśniami skaldów. Dzięki temu przetrwały, choć do XIX wieku leżały pokryte kurzem. Wiedziano o nich, ale kogo tam interesują baśnie?

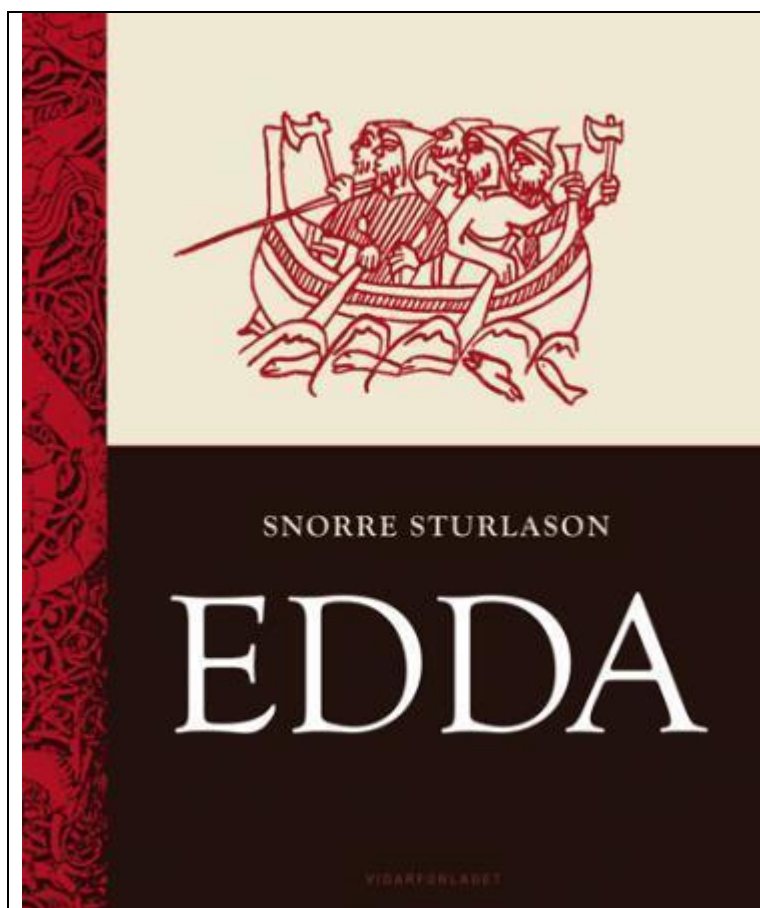


II połowa XIX wieku to okres "powrotu do korzeni". W kulturze polskiej to choćby "Stara baśń" Kraszewskiego (I wydanie - 1876). Norwegowie jako pierwsi w wikingim świecie (i chyba nieco politycznie, bo do 1905 roku byli "zjednoczeni" ze Szwecją) chcieli pokazać swoją własną historię, swoją narodową odrębność (od Szwedów) i sięgnęli po sagi Snorriego Sturlussona.

Na ilustracji: okładka niemieckiego wydania „Heimskringli” autorstwa Christiana Krogha.

Wydali je w 1899 roku, oczywiście po norwesku, a tekst ozdobili drzeworytami i rycinami Christiana Krogha. 10 lat później Duńczycy wydali swój przekład „Heimskringla”, zdobiony rysunkami i obrazami Erika Warenskjolda (w wydaniach niemieckich i angielskich – Wehrenskiolda).

Do tego dochodzi jeszcze „Edda”. A właściwie to dwie. Starsza, z dziewiątego stulecia to wiersze o bogach, wielkich (choć częściowo mitycznych) wojownikach, stąd zwana poetycką. Jest też „Edda młodsza”, spisany przez Snorriego Sturlussona podręcznik dla skaldów, jak tworzyć dobre pieśni.



Na ilustracji: okładka duńskiego wydania sag „Eddy” z 1911 roku.

No i wreszcie coś, co w innych krajach dość często skazywano na zapomnienie albo spychano „poza obszar badań naukowych”. Lausavisur (luźne wiersze), rimur („rymy”, pieśni ludowe) i lygisogur (w dosłownym tłumaczeniu „sagi kłamstw” – pieśni-opowieści ludowe nasycone cudownością, fantastyką i sensacją). Szczególnie historia tych ostatnich przeszła, na przestrzeni minionych dwóch stuleci, niezwykłą ewolucję. Okazało się bowiem, że choć były podawane w tradycji ustnej przez cztery czy pięć stuleci (większość z nich została spisana w XV lub XVI wieku), przekaz był niezwykle precyzyjny. Ich wielką cnotą jest bowiem ścisłość informacji geograficznych, szczególnie topograficznych. W XIX wieku badacze sag doszli do wniosku, że ich anonimowi autorzy musieli w rzeczywistości być w miejscach, które opisywali. Jeśli np. w sadze pojawiał się tekst „Dopłynęli do rozwidlenia rzeki. Wybrali odnogę wiodącą na wschód, u której brzegu stał głaz olbrzymi. Przenocowali przy nim, a jarl (i padało imię oraz nazwisko czy przydomek) nakazał wyryć na tym głazie runy ze swoim imieniem...”. Do połowy XIX wieku środowisko naukowe powątpiewało w prawdziwość takich opisów ale okazało się, że kiedy przełożyć nazwy wikińskie na współczesne i nałożyć opisy podróży na mapy, tekst z sagi zgadzał się z geografią absolutnie, wręcz perfekcyjnie. A jeśli

zapisano, że gdzieś pozostawili znak albo w kurhanie kogoś znacznego pochowali, bez trudu można było taki ślad odnaleźć.

Współczesna archeologia dołożyła do tego swoje możliwości. Jeśli bowiem w sagach zapisano, że gdzieś tam doszło do znacznej bitwy (czyli takiej z udziałem większej ilości ludzi), wystarczyło przeszukać teren. Odnajdywano podczas takich prac i pogrzebane szczątki ludzkie czy końskie, i fragmenty broni... Po prostu ślady walki były tam, gdzie bitwę w sagach opisano. To z kolei pozwala na weryfikację historyczną. Skoro bowiem dotarliśmy do momentu, w którym zaczynamy mieć za udowodnione, że istotnie Wikingowie dotarli w dane miejsce (bo opisali podróż w sagach a informacje geograficzne zgadzają się z miejscem), skoro archeologia potwierdza, że opisana w sagach potyczka czy bitwa istotnie w danym miejscu się zdarzyła, to pozostaje nam jedynie zaufać, że imiona i nazwiska (albo przydomki) głównych bohaterów też są prawdziwe.

Badania archeologiczne potrafią dziś odpowiedzieć nam na pytanie, kiedy dane zdarzenie miało miejsce, i to z dokładnością do kilku lat. Jeśli zatem czytamy w takiej „ludowej” sadze, że wódz Eryk syn Olafa (Olafson, Olafsson, Olavsen) ... to coraz lepiej możemy przypisać takie postaci do konkretnej epoki. Wprawdzie informacje takie nie mają charakteru wiedzy podręcznikowej, ale dla danej miejscowości czy rodu mogą być niezmiernie przydatne.

Mówi się, że żyjemy w globalnej wiosce, ale jako społeczeństwa wciąż jesteśmy mocno zamknięci w swoich historycznych grajdołkach. Ludom skandynawskim, od Danii po Islandię, do głowy nie przyjdzie, aby połączyć badania okresu rozkwitu świata Wikingów z badaniami świata Słowian, szczególnie tych znad Warty, protoplastów Mieszka i całej dynastii Piastów. Polscy badacze też wolą skupić się na „**wewnętrznych sprawach słowiańszczyzny**” i nie dotykać, jeśli nie ma bardzo istotnej potrzeby, świata wikińskiego.

Skandynawom trudno się dziwić – patrzą na naszą część Europy z pobłażliwością właściwą bogatym społeczeństwom. Ot, Słowianie, jacyś ubodzy Europejczycy. Ale potrafią być uczciwi. Przyznają choćby, że pierwsze (te najstarsze z najstarszych) domostwa na Grenlandii coś jakby nie ich. Kształt nie taki, sposób budowy też nie... Charakterystyczne dla Słowian z tamtej epoki. Tych im znanych Słowian, czyli znad Bałtyku. I od razu dodają, że

przecież Słowianie od początku z nimi wikingowali, żeglowali po całym znanym im świecie. Bo jednak łodzie i kunszt żeglarski to był „ich wkład cywilizacyjny”.

Naszemu społeczeństwu wydaje się z kolei, że Wikingowie to temat doskonale znany i jasny. Przyplýwali do nas na grabież i tyle. Kultura? Rzemiosło? Cóż to ma do rzeczy, gdy mówimy o bandytach? Nie przynosili na nasze ziemie niczego godnego uwagi, jedynie pożogę i śmierć. A już, że przyplýwali do nas i tacy, którzy wśród Słowian osiedlali się na stałe? A uchwaj, Panie Boże! Co jak co, ale to akurat być nie mogło, by z bandytą pod jednym dachem... To chyba najbardziej typowy stereotyp polskiego myślenia o epoce Wikingów i nich samych.

Ale nic nie jest białe albo czarne. Świat wikiński miał wiele bardzo kolorowych odcieni. O nich właśnie, i o wzajemnych relacjach między Wikingami i Słowianami, ta mini-opowieść.

Wikingowie a'la Kraszewski.

Nasze „polskie” wyobrażenie o Wikingach zostało ukształtowane dość dawno temu, poprzez ich obraz wyłaniający się choćby ze „Starej baśni” Kraszewskiego. Wezwani przez knezia/księcia Popiela na pomoc w rozprawie ze zbuntowanym chłopstwem Wikingowie zostali przedstawieni jako bandyci. Najemni grabieżcy i zbójcy. Obraz może mocno ograniczony, ale taki pozostał w pamięci ludu znad Gopła. Przed powstaniem „Starej baśni” Kraszewski prowadził badania etnograficzne, zatem zapewne spisał te ludowe podania tak, jak do jego czasów przetrwały. Dodał do tego legendę o Popielu oraz inne

nieutralone w piśmiennictwie opowieści o początkach Piastów i tak powstał stereotyp relacji wikińsko-słowiańskich.

No cóż, zapewne po części prawdziwy. Skoro bowiem doszło do czegoś, co współcześnie nazwalibyśmy wojną domową (lub rewolucją, bunt, powstaniem), skoro władza (Popiel) sięgnęła po zagraniczne wojsko (Wikingów), aby tylko obronić swoją pozycję, to zadaniem tego wojska było stłumienie „buntu”. Krwawo? Zapewne.

Mam dla wszystkich, którzy w tym momencie zawołają „No właśnie! Wikingowie byli mordercami^{*)}, grabieżcami^{*)}, bandytami^{*)} (wedle wyboru)” złą wiadomość – nawet i kilkaset lat później, bo w wieku XVII, taka postawa „władz” w stosunku do „buntowników” niczym nienormalnym nie była. Polecam Henryka Sienkiewicza i słowa księcia Jaremy Wiśniowieckiego wypowiedziane w „Ogniem i mieczem”, gdy ruszał przeciw powstaniu Chmielnickiego. Właśnie ogniem i mieczem postanowił buntowników ujarzmić, potopić jak psy w ich własnej krwi, a pożogi i łuny miały znaczyć drogę marszu jego wojsk. Było tak? Było! A żołnierze strzelający do zwykłych ludzi na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku? Czy kolejne pokolenie żołnierskie, któremu przyszło wyjść z bronią na ulice 13 grudnia 1981 roku? Nie miejmy do żołnierza pretensji za to, że rozkaz wypełnia, nawet jeśli każą mu „rznąć niewinnych”. On ma jedynie do wyboru „wykonać rozkaz i zabić lub nie wykonać, stanąć przed sądem i zostać zabitym”. Albo samemu strzelić sobie w głowę. Rozliczajmy zatem surowo acz uczciwie tych, którzy takie zbrodnicze rozkazy wydawali. Albo kupowali takie usługi.

Wróćmy do naszych słowiańsko-wikińskich relacji. Dlaczego Popiel akurat Wikingów sprowadził? Bo oni mieli taką „jednostkę do zadań specjalnych do wynajęcia”. Można powiedzieć, że tuż pod słowiańskim nosem, albowiem w Jomsborgu czyli dzisiejszym Wolinie. „**Żelaźni chłopcy**”, jak ich Jomswikingsaga (czyli saga o wikingach z Jom, wyspy Wolin) nazywa, raczej nie stanowili jakiegoś narodowościowego monolitu. Byli wśród nich różni.

Szwedzi i Norwegowie. Przygnani biedą, bo w Skandynawii ziemia nadmorska to skała, a dalej od wybrzeża – potężne lasy. Karczowanie lasów to praca niezwykle ciężka, zatem gospodarstwa były małe. Mąż, żona i kilkoro dzieci. Rodzina na swoim. Z polem, które było w stanie zapewnić jej jakieś bytowanie, chyba że lato nie dopisało, plony były byle jakie, albo pożar zboża strawił... Pole z domem dostawał najstarszy syn. Córki wydawano za męża, więc

problemu z nimi nie było. Szły do domów męża (i na jego garnuszek). Dla innych, młodszych synów miejsca na ojcowiznie nie starczało. Musieli szukać sobie swojego miejsca na ziemi.

Słowianie? Podobnie. Osady wśród lasów albo na wyspach (ostrowach) po środku rzek czy moczarów. Ileż tego lasu można było wykarczować? Tyle, co kot napłakał, byle na własne potrzeby starczyło. Ziemia może i lepsza niż w Skandynawii, lasy w zwierzynę i runo leśne bogatsze, ale rodzinnych płatków ziemi między synów nie dzielono. Najstarszy dostawał wszystko, młodzi musieli dla siebie miejsca szukać.

Czasem ten młodszy chciał „sztyletem” ojcowiznę przejąć. Jeśli miał dużo sprytu, jeśli starszy brat istotnie miał opinię wagabundy czy hultaja i nagle zniknął bez śladu, jakąś tam szansę miał. Ale jeśli pojawiały się „uzasadnione wątpliwości”, jeśli znaleziono ciało wcale nie przez wilki rozszarpane a z widoczną raną od ciosu mieczem czy sztyletem, musiał się liczyć z sądem i groźbą śmierci. Co było wtedy najlepiej zrobić? Wziąć nogi za pas i wiać, gdzie wielu podobnych dużą gromadą żyło i jeszcze warowny gród postawiło. Tacy byli chłopcy z Jom. Idealny żołnierz zaciężny. Bez swojego domu i bez rodziny, bo kobiet do Jomsborga wprowadzać nie było wolno. Przybywali bez pieniędzy, głodni, wycieńczeni, z nadzieją na odmianę losu. Że się szybko wzbogacą. Gotowi na wszystko. Tak oto powstała gromadka takich, co to jak dobrze zapłacić, weźmie każdą „robotę”, choćby i groźba śmierci za nią stała. Oni też wiedzieli, na co się piszą, zatem w Jomsborgu, gdy dłuższy czas (czyli od października do marca) wypoczywali, cały czas w sztuce walki się doskonalili. To czyniło z nich perfekcyjnych wojowników. Kto chciał ich nająć – mógł. Jeśli go tylko na ich usługi było stać.

Wiking to ktoś, kto idzie na VIK, idzie na rabunek, idzie po łupy. Wikingowie-rabusie pojawili się, przynajmniej na kartach historii, w roku 793. Oddam na moment głos kronikarzowi Symeonowi z Durham.

„Z północy nadciągnęła flota pogan niczym rój szerszeni. Rozpanoszyli się po Brytanii jak wściekłe wilki, grabiąc i mordując nie tylko zwierzęta juczne, owce i woły, ale nawet księży i diakonów, mnichów i zakonnice. Napadli na Lindisfarne, kościół złupili, święte miejsca zbrukali parszywymi stopami, wykopali ołtarze i zabrali wszystkie kosztowności. Część naszych braciszków zabili, innych uprowadzili ze sobą w kajdanach, wielu przegnali, odartych z odzienia i zelżonych, niektórych utopili w morzu”.

Uznajmy ten „bandycko-najemnicki” fragment obrazu Wikingów za prawdziwy i zamknijmy temat. Ale, jak napisałem, to jedynie część, drobny fragment obrazu Wikingów.

Wikingowie u Piastów.

Zacznijmy od badań archeologicznych, nie gdzieś tam daleko „za lasami, za górami, za Bałtykiem...” ale u nas, w Polsce. Prowadzone w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat badania w osadach i miejscach pochówków pamiętających czasy początków Piastów nie pozostawiają złudzeń. Wikingowie byli na ich dworach. Mieszkali w słowiańskich grodach i było ich wielu. Zatem nie byli „jednorazowymi” gośćmi czy jeńcami, ale stałymi mieszkańcami. Ich szczątki, zarówno kobiet jak i mężczyzn, były grzebane z należnym szacunkiem.

Szczególnie mężczyźni grzebano w kurhanach, zgodnie z ich obyczajem, bogato. Takiej czci nie oddaje się najeźdźcom, ale ludziom dla lokalnej władzy zasłużonym. Służba zacieźna? Zapewne też. Ale wydaje się, że nie tylko.

Sporo wiemy o Mieszku z okresu jego małżeństwa z czeską Dobrawą i czasach późniejszych. Ale wcześniej? Zapewne miał kilka żon i nałożnic (jednocześnie; wielożeństwo było wśród Słowian normalne). Czescy historycy coś przebakują, że przed Chrobrym miał też wcześniejsze potomstwo. Czy tylko „czysto słowiańskiej” krwi? Otóż niekoniecznie. Badania archeologiczne, a przede wszystkim badania genetyczne ocalałych szczątków pierwszych Piastów przeczą temu. W genotypach sporo jest „obcego” materiału. Saskiego i wikińskiego. Czyli, że jeszcze przed Mieszkiem jego przodkowie - Piastowicze brali sobie za żony „księżniczki” z tego obcego jakby dla Słowian świata. Zapewne nie tylko dla innej niż lokalna urody. Liczył się posag! Pieniądz i ludzie. Wikińska żona-księżniczka wiodła ze sobą na dwór słowiańskiego księcia orszak posłusznych jej aż do śmierci wojowników. Była ich „wodzinia” (przepraszam za to słowo, ale jeśli ktoś ma lepszy pomysł na żeńską formę słowa wódz – proszę o post; chętnie skorzystam) na śmierć i życie.

To nie jest mój wymysł. Kroniki z epoki Karola Wielkiego i jego następców opisują konflikty z Wikingami, którzy w I połowie IX wieku próbowali wielokrotnie zdobyć Paryż, co zresztą w roku 848 uczynili. Po drodze mieli inne, bogate miasta, zatem zdobyli Trewir (Trier), Gandawę, Brugię, Antwerpię, Amsterdam i wiele, wiele innych. Całą północną część dzisiejszej Francji, Normandię, nie tylko zdobyli, ale zajęli na stałe i utworzyli tam swoje państwo. Ziemia Ludzi Północy, ziemia Nordmanów, Normandia. Tamte wydarzenia do dziś żyją w tej nazwie. Nie tylko wodzowie-mężczyźni wpisali swe imiona w historię walk o Paryż. Jedną z wypraw na Paryż (przez Trewir) prowadziła kobieta. Karin córka Katarzyny, Katrinsdottir. Jej matka też musiała być prawdziwą „babą z jajami”, skoro córka dostała nazwisko po matce a nie, jak było w wikińskiej tradycji, po ojcu! Bo takie bywały kobiety Wikingów. Jeździły konno, kierowały łodziami, strzelały z łuku, a i walka na miecze obca im nie była. Jeśli już decydowały się na życie wojownicze, w niczym mężczyznom nie ustępowały.

Zapewne niejedna z takich kobiet trafiła na dwór Siemomysła, Mieszka i ich przodków, gdyż „pokojowo-cywilizacyjne” a nie wojenne znaleziska wikińskiego pochodzenia z Poznania, Gniezna czy innych grodów z początku

Piastów pochodzą praktycznie z całego okresu obejmującego IX i X wiek. A to oznacza, że Wikingowie byli stałym elementem w otoczeniu Piastów. To by zresztą tłumaczyło zdarzenia późniejsze, kiedy to Mieszko doprowadza do zamążpójścia swojej córki Świętosławy za króla Szwecji Eryka VI Zwycięskiego. Traktaty i negocjacje po jakiejś wojnie czy potyczce to jedno, ale mariaż to rzecz jeszcze inna. Król nie żeni się z byle panną, przynajmniej nie w tamtej epoce. Zatem około roku 980, kiedy do tego małżeństwa dochodzi, musiał być Mieszko postacią w świecie Wikingów znaną i szanowaną, musiał mieć w tym świecie pozycję równą królom! I musiał być dla wikingów władców człowiekiem wiarygodnym, takim, z którym warto się układać.

Patrząc się na układy dynastyczne późniejszych Piastów czy Jagiellonów nie sposób oprzeć się logicznemu wnioskowi, że związki zadziergnięte przez poprzednie pokolenia dobrze jest kontynuować. Skoro zatem Mieszko wydawał Świętosławę za wikingów króla, to i on sam wcześniej, jak i jego ojciec też musiał w jakichś koligacjach z najważniejszymi rodami świata wikingów pozostawać. I zapewne były to relacje obustronne. Słowianka jechała gdzieś na północ. Może „tylko” nad Bałtyk (tak, tak, Wikingowie panowali nad niemalże całym obecnym polskim wybrzeżem Bałtyku, bo przynajmniej od Winety-Wołynia-Jomsborga (dziś Wolina) po Pobreże Słowińskie, czyli okolice Łeby i Słupska, choć niektórzy historycy wskazują, że i dalej na wschód, gdyż w nazwie łacińskiej *Gedanensis* łatwo dopatrzeć się rdzenia „**danen** – Duńczycy” (zaś w słowiańskim Gdańsk – Danske; Dania). Może i dalej na wschód sięgali, po pruskie Truso (czyli gdzieś okolice dzisiejszego Elbląga). Może na którąś z bałtyckich wysp... Może wprost do Danii czy Norwegii. Zapewne dostawały słowiańskie panny-księżniczki wojów do ochrony, konie, drwali, należyty zapas skór i przeróżnych „darów lasów”.

W drugą stronę też płynęły dziewczyny. Nad Wartę. Do grodów Piastów. Wraz z nimi przybywali wikingowie wojownicy, w swych kutych z żelaza zbrojach, w kolczugach, z mieczami i toporami, którymi potrafili ponoć jeźdźca wraz z koniem na dwoje rozciąć. Ale nie tylko o liczbę wojów się układano, targowano się także o kowali, mieczników czy garncarzy, z warsztatem rzecz jasna.. Szczególnie pożądanymi byli miecznicy, biegli w sztuce wytwarzania broni, zbroi i tarcz. Nie zapomniano też o niewolnikach. Byli ważnym elementem posagu. Kim byli? Różnie. Mogli to być na przykład uprowadzeni z Irlandii lub Anglii mnisi, biegli w sztuce budowania z kamienia i robienia cegieł. Tak się

jakoś składało, że w tamtej epoce mnisi chrześcijańscy myślicielami raczej nie bywali, ale dwie sztuki mieli opanowane perfekcyjnie. Czytania i pisanie oraz właśnie budowania. Od projektu poprzez „produkcję” materiałów budowlanych po nadzór nad robotnikami. Jak myślicie, kto pierwsze pallatium z cegły dla Mieszka budował? Od Sasów, z Bremy czy Hamburga miałby doświadczonych mistrzów murarskich wraz z robotnikami ciągnąć? Wiecie, ile to by kosztowało? Wcale bym się nie zdziwił, gdyby żelaźni chłopcy z Jom dostali od Mieszka „zlecenie” sprowadzenia do Poznania kilkudziesięciu takich. Płaci się raz, potem wystarczy jedynie nakarmić i materiał do pracy zapewnić. Jeńców krwi wszelakiej w mieszkowych lochach nie brakowało ...

Wojownicy bez trwogi.

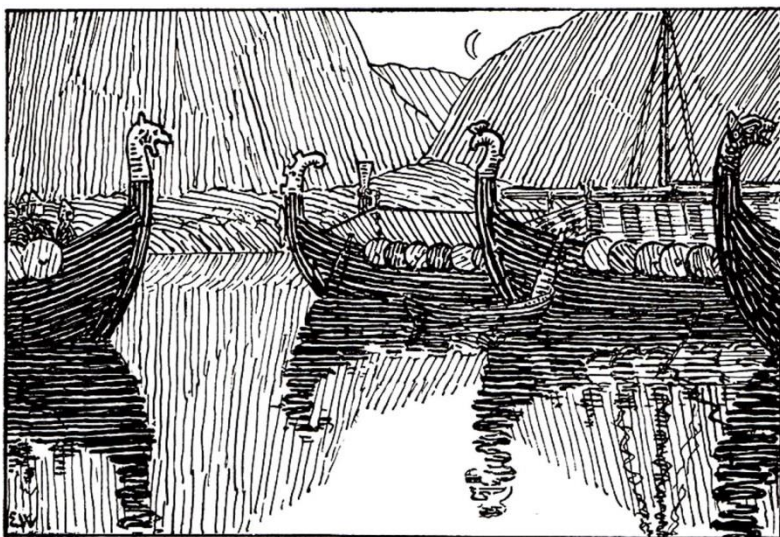
Nie każdy Wiking był rabusiem i bandytą. Badacze czasów wojen krzyżowych przywołują i taką opowieść, gdy złożony z niemalże samych Normanów (czyli Szwedów i Norwegów) oddział templariuszy został otoczony na pustyni przez wojska Saladyna. Bez jedzenia, bez wody, bez szans na odsiecz. Dostali propozycję. Kto przejdzie na wiarę Allaha, ocali życie. Kto odmówi – umrze. Było ich ponad dwustu. Jeden po drugim szli ku Saladynowi,

zdejmowali hełm, przyklękali i czynili znak krzyża. Albo wystawiali część złamanego miecza (żaden Wiking nie oddałby dobrowolnie swojego miecza. Templariusze zresztą podobnie!), z rękojeścią i głownią, jakby krzyż... Nie musieli mówić „NIE!”. Ten prosty symbol wystarczał. Saladyn dawał znak, kat ścinał głowę jednym zręcznym cięciem. Żaden z Wikingów nie okazał strachu, żaden nie wyrzekł się wiary.

Nam wydaje się to nieprawdopodobne. Piękna legenda mająca pokrzepić (wtedy) serca podupadających moralnie krzyżowców (i ogólnie chrześcijan). Coś do żywotów świętych. Wystarczy jednak wejść nieco głębiej w wikiński świat by zrozumieć, że dla nich nie było to czymś nadzwyczajnym. Walczyli w imię Chrystusa, byli chrześcijanami, ale byli wychowywani w świecie Wikingów. Świecie, w którym pojęcie HONOR ma znaczenie nadrzędne. Świecie, w którym odwaga, przyjaźń i wierność to wartości niezbywalne, najważniejsze w prowadzącym do „raju” ziemskim życiu.

Odwaga była czymś codziennym. Ich zwykle codzienne życie polegało na łowieniu ryb i innej morskiej zwierzyny w niespokojnych wodach Morza Północnego, Norweskiego albo Oceanu Arktycznego. Wpływaniu w ciasne i niebezpieczne fiordy. Bez odwagi i zręczności – ani rusz. Paraliżujący ciało i myśli strach byłby... śmiercią. A oni kochali życie.

Kochali dobre jedzenie i jęczmienne piwo. Może było trochę mętne, tak przynajmniej twierdzą znawcy piwa i epoki Wikingów, którym udało się odtworzyć pradawny sposób warzenia tegoż napitku, ale było mocne. Tak około 10%. „Wodę piję tylko wtedy, jak nie ma piwa!” miał ponoć powiedzieć jeden z wikińskich kupców, który dotarł na dwór sułtana Sycylii. Dlatego byli wiecznie podchmieleni, a rano – mieli zwykle gigantycznego kaca. Coś mi się zdaje, że musieli się dobrze czuć w towarzystwie Słowian...



Tak przedstawił Christian Krogh scenę nocowania łodzi we fiordzie.

Ilustracja z norweskiego wydania sag „Heimskringla”

A przetrwanie zimy w wioskach położonych w górach północy, gdzieś na wysokości Lofotów? Gdzie noc (polarna) trwa wiele miesięcy? Trzeba czasem wyjść do lasu. Po drewno. Albo na polowanie. Wchodzisz w las? Miej oczy dookoła głowy. Właśnie sam stajesz się smakowitą przekąską dla wilków, rozumiesz???



Zima na północy.

Ilustracja autorstwa Erika Wehrenskiolda z „Sagi Zdobywców”

To chyba wyjaśnia, dlaczego Wikingowie nie bali się śmierci. Musieli być tak wychowywani, inaczej nie mieliby szans na przeżycie. Jako ludzie każdy z osobna i jako społeczność.

Wróćmy do owych templariuszy. Przecież coś musieli czuć, a mimo to poszli na śmierć. Z perspektywy naszych czasów wydaje się to dziwne, niezrozumiałe, niewiarygodne, ale wystarczy choćby odrobinę wejść w psychikę Wikinga, by to zrozumieć. Jedną z podpowiedzi mogą być zachowane pisma świętego Gondolfa (vel Gandalfa albo Gundulfa), biskupa Trewiru z I połowy IX wieku. Wychowany w świecie Wikingów przyjął,

podczas jednej z łupieżczych wypraw, chrześcijaństwo. Krótco potem, już w imię Nowego Boga, wraz ze swoją drużyną odbił Trewir, wyznając przy tym „stacjonujących” w mieście Wikingów. Czy za to został biskupem? No cóż, tego akurat historia nie przekazała.



„Czarna brama” w Trewirze.

Legenda głosi, że w jej wnętrzu ukryli się ostatni Wikingowie. Gondolf, nie mogąc zdobyć tej zbudowanej z kamienia fortelicji, nakazał obrzucać ją chrustem i sianem, po czym podpalić.

Broniący się wewnątrz Wikingowie zostali upieczeni żywcem, a czerni dymu i spalenizny pozostała na kamieniach na wieki...

Fotografia własna autora.

Zostało po Gondolfie trochę „wiedzy religijnej”. W jednym z listów porównał apokalipsę według św. Jana z częścią wierzeń Wikingów.

Jak ma wyglądać koniec świata? Zastanawialiście się kiedyś? No cóż, na pokojowy i pełen miłości obraz Proroctwo Janowe nie wygląda. Będzie strasznie!!! Zostaną przełamane cztery pieczęcie i z nieba zstąpią czterej jeźdźcy apokalipsy. Los ziemi zostanie przypieczętowany. Rozpocznie się **ZAGŁADA!** Po jeźdźcach apokalipsy zstąpią archaniołowie. Michał, Gabriel, Rafael i Uriel (no właśnie, też czterej; teolodzy do dziś toczą spór, czy jeźdźcy apokalipsy i archaniołowie to te same postaci). W pełnych blasku zbrojach, uzbrojeni w broń boską ręką wykonaną, będą wymierzać sprawiedliwość, zabijając wszystko, co przez dotyk „złego” skażone zostało. Za nimi będzie szła armia pomniejszych aniołów zemsty i sprawiedliwości. Armia Boga. Na końcu, na

białym koniu i w białej szacie nadejdzie Jezus. On ostatecznie zakończy walkę dobra ze złem, wygra.

22

A jak koniec świata przedstawiają wierzenia Wikingów? Dość podobnie. Ma nadejść czas, w którym zło ogarnie całą ziemię, miłość zostanie zakazana, prawo zostanie zniesione. Zarówno ludzkie jak i boskie. Nastanie czas zbrodni i gwałtu. Krwawy księżyc będzie stał nad ziemią w dzień i w nocy. Ale gdy zło będzie triumfować na ziemi, Odyn postanowi się z nim rozprawić. Nadejdzie czas Ragnarök, wielkiej bitwy dobra ze złem na koniec świata. Odyn weźmie róg, zadmie, i otworzą się wrota Walhalli. Wielkiej izby-świątyni-pałacu. Tam, po ziemskiej śmierci, zasiadają polegli w boju „najwięksi z największych”, niezłomni, najodważniejsi i najsprawniejsi w walce. Teraz spokojnie siedzą w izbie pijąc miód i przechwalając się swoimi wojennymi przygodami albo śpią, śniąc o swoich zwycięstwach. Gdy zostaną przywołani głosem rogu, gdy wrota się otworzą – zstąpią na ziemię. Thor syn Odyna stanie na ich czele wraz ze swoim młotem mjölnirem (oczywiście też magicznym, wykutym przez dwa służące Odynowi karły: Sindriego i Brokka), poprowadzi ich do boju i ramię w ramię pokonają zło. Ktokolwiek z nich zginie (a zginie wielu, wśród nich sam Thor), jego dusza otrzyma w nagrodę pokój na wieki. Będzie spać snem bohatera aż po koniec świata... Zło zostanie ostatecznie pokonane a ziemię dotkną wielkie przemiany. Nie będzie nocy i zimna, nie będzie śmierci, zapanuje wieczna miłość. Coś jakby raj??? No chyba właśnie tak!

Jak owi niezłomni templariusze mogli sobie wyobrażać życie po śmierci? Zapewne jakoś tak, że i u chrześcijańskiego Boga w Niebie jest pewnie taka izba (może pałac), gdzie ci najwaleczniejsi czekają na „czas apokalipsy”, by kiedyś stanąć do walki ze złem. W Niebie szkolą się w walce, pod okiem archanioła Michała albo Uriela... Oni, jeśli się nie ulęką, zapewne też tam trafią.

Siła wiary! Szli zatem wikińscy templariusze przed oblicze Saladyna z nadzieją, że gdy tylko ich głowa stoczy się na piach, przyjdzie po ich dusze któraś z Walkirii (bo było ich 19 panien – wojowniczek), by przeprowadzić ich do „Walhalli” w Niebie.

Za to warto umrzeć!

I znów na moment wrócę do „Starej baśni”. Przybywający na wezwanie Popiela najemni Wikingowie wpadają w zasadzkę. Nie są w stanie pokonać

zjednoczonego słowiańskiego przeciwnika. Nie są w stanie powrócić na łódzie. Mogą jedynie poddać się lub zginąć. Mają wybór. Tak przynajmniej może wydawać się polskiemu czytelnikowi. Bo z punktu widzenia Wikingów właściwie ta pierwsza opcja nie wchodzi w rachubę. Zostaje jeszcze jedno honorowe wyjście – pojedynek jeden na jednego. Zwycięzca bierze wszystko.

Dochodzi do pojedynku, w którym Siemowit (albo Ziemowit) pokonuje jarla Sigvalda. Wikingowie mają odejść, oddając swoje miecze, łuki, topory, tarcze i zbroje. Tak przyrzekli. Na Odyna.

Ale na ich orężu runy z ich imionami, albo z imionami walecznych przodków... Hańba temu, kto taki miecz odda czy sprzeda. Każdy Wiking, od najmłodszych lat wie, że miecz jest częścią jego honoru, ciała i duszy. Kto odda miecz, traci honor. Na zawsze. Będzie wyklętym w świecie Wikingów a jego imię będzie okryte wieczną niesławą. Kto odda miecz, będzie mieć obciętą prawą dłoń, gdyż nie jest godny być wojownikiem. Chyba, że jarl albo ting (wiec ludowy) osądzi, że taki człowiek nie zasługuje na życie. Wtedy odda życie w męczarniach, bo nie dla odszczepieńca kat z toporem i mieczem. Będzie jakby ukrzyżowany, rozwieszony na drzewie na hakach do łowienia wielkich ryb, prawie jak bombka na choince. Kto odda miecz, ma zamkniętą drogę do Walhalli. Żadna z Walkirii po niego nie przyjdzie. A gdyby jego dusza chciała tam, do wikińskiego raj, dostać się samodzielnie, Walkirie staną jej w drodze, dobędą mieczy czy włóczni i powstrzymają, odpędzą. Tchórze, którzy wybrali życie nad honor, wstępu do Walhalli nie mają. Ich dusze będą potępione i będą błąkać się, nie zaznawszy spokoju. A na takie dusze czekają złośliwe trolle, aby nad nimi zapanować... Strach się bać!

Dopiero taka skrócona podróż po obyczajowości Wikingów pozwala zrozumieć, dlaczego woleli dobyć swych mieczy i kompan kompana śmiertelnie ugodzić. Brak lęku przed śmiercią i postawienie honoru nad doczesnością dawało im prawo do życia wiecznego. I nadzieję, że nie tylko wejdą do Walhalli, ale że i na ziemi, już po ich śmierci, kolejne pokolenia będą przekazywać sobie opowieść o odważnych, co to woleli zginąć niż oddać miecz!

Żeglarze...

Ten fragment naszych stereotypowych wyobrażeń o Wikingach jest absolutnie prawdziwy – statki, a na nich oni. Pływali po całym znanym wówczas (a czasem i nieznanym) świecie.

Pływali wielkimi rosyjskimi rzekami. Nowogród Wielki, później jedno z najważniejszych miast Rusi, znany był po XI wiek pod wikińską nazwą Holmgård (Arabowie mieli tenże gród na swoich mapach już w VIII wieku). Czyż może zatem dziwić, że i w późniejszym malarstwie przedstawiano założyciela Rusi, księcia Włodzimierza (czyli Valdemara) na tle drakkara? Charakterystycznej łodzi wikińskiej zdobionej smoczą głową?

24



Tu akurat Włodzimierz Wielki/Valdemar na obrazie Henryka Siemiradzkiego ze zbiorów Muzeum Państwowego w Moskwie.

Można kręcić głową z niedowierzaniem, że aż tam Wikingowie stali, ale potwierdzają to Arabowie. Oni bywali w Holmgårdzie na targowisku bursztynu, skór i innych dóbr leśnych. Wikingowie natomiast byli stałymi gośćmi na targowiskach Konstantynopola i portach wzdłuż wybrzeży całego półwyspu Azji Mniejszej, północnej Afryki czy Hiszpanii. Tam sprzedawali miód, skóry wilcze i niedźwiedzie, sadło i bursztyny. Kupowali jedwab, adamaszek, perkal i broń. Ale najważniejszy był ich własny **TARG NIEWOLNIKÓW** w Odessie. W jaki sposób Wołgą, Donem lub Dnieprem dowozili niewolników z północy? Nie wiadomo, ale rosyjscy badacze przypuszczają, że wpływali na Bałtyk, gdzieś w okolicach Petersburga przesiadali się z łodzi na konie i wiedli swoje zdobycze na południe. I coś w tym musi być, bo między Wołgą a Donem

pozostawili po sobie wiele kurhanów. Skąd brali niewolników, możemy się jedynie domyślać...

Skoro już mówimy o owym pływaniu Wikingów aż po Konstantynopol i ziemie arabskie – czasem handlowali, czasem wojowali. Płynąc z północy na Morze Śródziemne mieli po drodze Lizbonę – oczywiście splądrowali. Raz a dobrze, gdzieś w połowie IX wieku. Arabowie nie zdołali ich odeprzeć. Kadyks, też wówczas muzułmański, zdobyli bez kłopotu. Malagę również. Dopłynęli rzeką Gwadalkiwir do Sewilli, ale zostali pobici. Skończyło się ... ugodą z Arabami. Pływali zatem do Hajfy i Jerozolimy, do Kairu i Aleksandrii (na handel), a arabscy żeglarze i podróżnicy pływali na północ, aż po Islandię i Lofoty.

Byli w owym wojowaniu i żeglowaniu tak dobrzy, że pod koniec X wieku duża ich grupa przybyła do Miklagarðr (czyli Konstantynopola), dając początek przybocznej gwardii cesarskiej zwanej gwardią wareską.

W XI wieku, na prośbę papieża Benedykta VIII, najechali Sycylię. Mieli ją jedynie wyzwolić spod władzy saracenów, ale... doszli do absolutnie logicznego wniosku, że taka baza wypadowa na Morzu Śródziemnym ogromnie ułatwi im handlowanie. Podbój zajął im jakieś 50 lat, przy czym w końcowej fazie główne siły Wikingów pochodziły z Normandii. Koniec końców Robert z d'Hauteville zwany Guiscard czyli chytry ogłosił się królem Sycylii. Oczywiście papież mu tego nie darował, obłożył go ekskomuniką, ale w obliczu walk z niemieckim cesarzem ekskomunika została zdjęta. Wikingowie (czasami, jeśli im się to opłacało) włączali się w ów spór cesarsko-papieski. Będąc języczkiem u papieskiej wagi na sto lat zapanowali nad Sycylią. I właśnie stamtąd, z Palermo, pochodzi arabski opis, przedstawiający ich w zupełnie innym świetle. Siedziba wikińskiego króla przypominała bardziej pałac sułtana z ceremoniałem bizantyjskim. Normanowie dokonali cudu – doprowadzili do pokoju między różnymi etnicznie i religijnie społecznościami. Muzułmanie, Grecy, łacinnicy i Żydzi żyli w harmonii i zadowoleniu. Arabski kronikarz i podróżnik Massud al Damascus zauważył nawet ze zdumieniem, że na Sycylii chrześcijanki ubierają się jak muzułmanki, te drugie zaś nie znają miary w gadulstwie, natomiast Żydzi robią świetne interesy ze wszystkimi.

...i odkrywcy.

Jako żeglarze bywali także odkrywcami. Pływali po północnym Atlantyku. Że odkryli dla Europy i zasiedlili na stałe Islandię, nie ulega żadnym wątpliwościom czy dyskusjom. Znana jest nawet data – rok 874.

26 Sto lat później skolonizowali Grenlandię. Zrobiła to ekipa pod wodzą Eryka Rudobrodego. Człowieka porywczego, który został wygnany z Norwegii za morderstwo. W afekcie, jak to byśmy dzisiejszym językiem prawniczym powiedzieli. Ot stanęło dwóch do walki o jedną dziewczynę, Eryk wygrał, ale jarl Olaf (lub Olav) Trygvasson (Tryggvasson albo Tryggrwassen, bo oczywiście sztuka odczytu runów polega na tym, że co czytacz, to inna interpretacja nazwy, imienia czy nazwiska; będzie o nim jeszcze; ale skoro opowieść o Wikingach – żeglarzach przyozdobiłem obrazem z księciem Włodzimierzem to może i warto powiedzieć, że Olaf wychował się u Jarisleifa – Jarosława gdzieś w okolicach Holmgårdu i ponoć bywał u Mieszka nad Wartą) nie uznał tego pojedynku za „honorowy”. Dziewczyna była ponoć z dobrego rodu i bez zgody jarla za męża iść nie mogła, a Eryk zgody takiej nie miał. Czyli pojedynek był bezprawny. Skończyło się oskarżeniem o morderstwo, ale uwzględniono pojedynek o kobietę jako „okoliczność łagodząca”. Ocaliło to wprawdzie Erykowi głowę, ale wyrok wygnania zapadł. To oczywiście „romantyczna” wersja Erykowego życiorysu. Bo gdzieś tam w tle polityka się czai. Eryk Thorvaldsson i jego ojciec, Thorvald Asvaldsson, byli w służbie króla Danii Haralda Sinezębego – było już o nim przy okazji ilustracji okładkowej, dalej będzie nieco więcej o życiu samego Haralda, który w 982 roku akurat przegrał wojnę z norweskimi jarłami - Håkonem Sigurdssonem oraz Olafem Trygvassonem. Pewnie dostał Eryk (Norweg, Wiking) w czasach wojennych niedwuznaczną propozycję „albo służysz nam, albo won!” (a pamiętacie powiedzenie: jak się chce psa uderzyć, kij się zawsze znajdzie!!!), odmówił i opuścić Norwegię musiał. Powód pewnie nawet i brzmiał wiarygodnie, bo bójki o kobietę były w świecie Wikingów czymś absolutnie normalnym, porwania panien i przymuszanie ich do ślubu też do rzadkości nie należały. Dziś to nie ma znaczenia, jak było z wygnaniem Eryka, ważne co było potem.

Popłynął Eryk na Islandię, ale pomyślcie sami... Chłopisko potężne, w bojach zaprawione, zadziorne (chyba było to u nich dziedziczne, bo Thorvald, ojciec Eryka, też za morderstwo został wygnany! Tyle, że z Danii do Norwegii),

a Islandia wysepka niewielka. Ludzi garstka, ładnych a wolnych kobiet jak na lekarstwo, musiało zaiskrzyć. Co tam się stało, dokładnie nie wiemy, ale zdaje się, że poproszono Eryka, by gdzieś sobie popłynął. I chyba była to prośba nie do odrzucenia!

Na północ nie mógł. Na Spitsbergenie nikt na stałe nie mieszkał wówczas, do dziś zresztą też nie. Nie da rady.

Do Norwegii wracać nie mógł. Zapłaciłby za to głową.

Do Danii też nie mógł płynąć – tam akurat trwała wojna domowa, a żadna ze stron sprzymierzeńca w nim akurat nie widziała. Bo w wojnie Duńczyków z Norwegami nie stanął po duńskiej stronie, wolał odpłynąć na Islandię. Zdrajca, znaczy się. Zdradził raz, może i drugi, zatem szlaban masz na Danię, Eryku.

Do Normandii – też nie! Tam akurat potomkowie wikińskiego jarla imieniem Rollo (schryścianizowanym na Rolf) utworzyli sprawnie zarządzane Księstwo Normandii (za niespełna sto lat potomek Wikingów imieniem Wilhelm, przez jednych zwany Bękartem a przez drugich – Zdobywcą dokona udanej inwazji na Anglię, zdobywając jej tron, jednocząc pod jednym berłem rozproszone maleńkie królestwa, księstwa i samodzielne miasta; Wiking Wilhelm stanie się założycielem dynastii Plantagenetów).

Nie mając innego wyboru popłynął Eryk na zachód. I pewnie mocno się zdziwił, że niemalże pod samym nosem miał inną wyspę. Wtedy jeszcze trwała „epoka cieplarniana”, jak dziś byśmy to określili. Wyspa była na znacznej przestrzeni porośnięta lasem, stąd została nazwana Grenlandią, Zielonym Łądem. (Tak, tak, żadna przesada. 250 lat później Krzyżacy stwierdzą, że klimat w okolicach budowanego akurat Malborka jest tak łagodny i ciepły, że sprowadzona z Nadrenii winorośl daje lepsze wino, niż w swojej ojczyźnie...). Po pełnej lodowców i wulkanów Islandii (Wyspa Lodu, tak tłumaczy się nazwę islandia), zielona Grenlandia musiała sprawiać przyjemne wrażenie. Oczywiście wieść się szybko po wikińskim świecie rozniosła, na Grenlandii powstała całkiem spora kolonia Wikingów.

W roku 1002 syn Eryka, Leif Eriksson, wyruszył na zachód. Saga o Grenlandczykach (Grænlandinga) mówi, że w pierw odkrył ziemię pokrytą kamiennymi płytami – według geologów mogło chodzić o Ziemię Buffina. Potem Leif popłynął na południe – dotarł do miejsca, w którym nawet przezimował. Rzeki były pełne łososi a na skraju lasów rosła dzika winorośl. Tyrkir, jeden z towarzyszy Eryka, nadał tej ziemi nazwę Winland. Czy był to

Labrador? A może okolice L'Anse aux Meadows na Nowej Fundlandii, gdzie znaleziono ślady wikingów? Nie wiadomo, ale pozostałe po Wikingach relikty, fragmenty broni i naczyń nie kłamią. Wikingowie byli w Ameryce prawie pięćset lat przed Kolumbem...

Czemu jej nie skolonizowali? Dlaczego nie założyli tam stałego obozowiska, grodu czy choćby wsi? Przecież żyłoby im się tam lepiej, niż na Islandii. Ziemi pod dostatkiem, lasy piękne, zatem drzew i zwierzyny pod dostatkiem, rzeki pełne ryb, ogólnie cieplej i przyjemniej... Ale nie. Odkryli, obejrżeli i wrócili na Grenlandię. I chociaż opowieści o tym odkryciu w ich sagach pozostały, chociaż z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie opowieści o tym pięknym lądzie gdzieś na zachodzie, i to dość blisko, pozostali na swoim. Może im Grenlandia przypominała surowe wybrzeża środkowej i północnej Norwegii, ich ojczyste ziemie? Trudno dziś odgadnąć. Stało się, jak się stało, ale dziś historia oddaje im właśnie miano „odkrywców Ameryki”. Ciekawe tylko, czy Kolumb znał sagę o Grenlandczykach? Map wprawdzie Wikingowie nie rysowali, ale sagi pełne są opisów... wód! Otóż rozpoznawali oni za dnia, gdy gwiazd nie było widać, wody jako takie. A to, że pełno na powierzchni wodorosli (pewnie glonów), a to że mniej słońca (albo bardziej), a to że zimna albo ciepła... No i opisywali w sagach wielkie morskie stwory. Wieloryby i rekiny. W zależności, co tam im w sieci wpadło, bo w trakcie podróży wlekli za łodzią sieci, do których łowili wszystko, co w wodzie pływało, opisywali sobie wody po głównej rybie. Jak dorsz, to jesteśmy tu. Jak śledź, to w innym miejscu. I tak akwen po akwenu. Metoda może nietypowa, ale skuteczna.

Szkutnicy.

Zastanawiałem się, jak ich nazwać od tej czysto technicznej strony ich życia. Konstruktorzy? Fakt faktem, chcąc pływać po morzach i oceanie (Ocean Arktyczny od niedawna jest „samodzielnym” oceanem; wydawać by się mogło, że pół wieku to niewiele, ale wtedy zaczynałem szkołę i nie było mowy o tym oceanie. To była część Atlantyku, jeśli już – sic!) trzeba mieć sprawne statki. Ale budowa statków czy łodzi nie była czymś nadzwyczajnym. Od kilku tysięcy lat, od czasów starożytnego Egiptu czy Persji żegluga morska, zatem i sztuka budowania statków, była czymś... absolutnie normalnym. Tyle, że warunki tego pływania były całkowicie inne. Morze Śródziemne jest, w porównaniu z Atlantykiem, ciepłą, spokojną i przyjazną żeglarzom sadzawką. Fakt, od czasu do czasu trafi się i tam sztorm. Niejeden statek poszedł na dno połamany sztormowymi falami, ale zdarzało się to raczej rzadziej niż częściej. Już za czasów rzymskich na Morzu Śródziemnym panował tłok, jak u nas w wakacyjnym szczycie na autostradach. Tyle, że pływano blisko brzegów albo w poprzek. Po dość krótkich i bezpiecznych trasach. Żeglarze starożytności czy wczesnego średniowiecza za Słupy Heraklesa, jak nazywano Cieśninę Gibraltarską, raczej się nie wyprawiali.

Wikingowie to jednak inny świat, inne wody. Zwykle wzburzone, często sztormowe. Twarde śródziemnomorskie galery niezbyt się na Atlantyk czy Morze Północne nadawały. Nawet nasz poczciwy Bałtyk jest w porównaniu z Morzem Śródziemnym zimny, nieprzyjazny i, całkiem po ludzku rzecz nazywając, groźny. Potrzebowali zatem Wikingowie innych statków. I mieli je. Gdzieś pod koniec siódmego wieku, może na początku ósmego (datowania wskazują na okres 680-720) pojawiły się pierwsze długie łodzie, czyli właśnie drakkary. Miały absolutnie nowatorską, jak chcą niektórzy, na swoje czasy konstrukcję. Giętki kadłub, idealnie nadający się do pływania po Morzu Północnym, Bałtyku, Kanale Angielskim (czy la Manche, jak kto lubi francuski) oraz północnym Atlantyku, aż po Ocean Arktyczny. No właśnie, napisałem, że zwykło się przypisywać konstrukcję drakkarów wikińskim skutnikom. Ale kompletnie odmiennego zdania był Norweg, dla mnie absolutny autorytet w dziedzinie żeglugi „prehistorycznej” Thor Heyerdal (1914-2002). Otóż on postanowił udowodnić, że egipskie statki z papyrusu, tak doskonale znane ze ściennych malowideł w piramidach, nadawały się do dalekomorskich podróży.

Zbudował taki statek („Ra”) i popłynął nim ku Ameryce Południowej. Dał radę! Wygięty ku górze przód i tył, giętka konstrukcja... Tyle, że gdzie Egipt a gdzie Norwegia czy inne ziemie Wikingów? No niby daleko, ale nie dla handlarzy. Tych, podobnie jak rozbójników, nic nie zatrzyma. Płyną i już! Z arabskich map i kronik wynika, że pływali oni na handel gdzieś tam, na północ. Bywali na Szetlandach. Bywali na Jutlandii (czyli w dzisiejszej Danii). Docierali nad Bałtyk i do środkowej Norwegii. W ósmym stuleciu. Czym pływali? Mieli statki budowane z drewna, ale wzorowane na tych staroegipskich. Wystarczyło trochę podpatrzeć, wprowadzić niezbędne dla wód dalekiej północy udoskonalenia i... w drogę! Można w to oczywiście wątpić, ale jakoś arabskie statki handlowe dość mocno łodzie Wikingów przypominały.

Długie łodzie nie były jedynymi statkami Wikingów. Były też snekkje.



Snekkja przy brzegu. Obraz Christiana Krogha z 1887 roku.

Krypy większe od „długiej łodzi”, jak w wikińskim świecie zwano drakkary. Z miejscem na „przestrzeń mieszkalną”, bo służyły do długiego bytowania na takiej łodzi. A skoro miały służyć do prowadzenia handlu, musiały mieć odpowiednią przestrzeń na ładunki różnego typu. Aby w każdym niemalże miejscu mieć co sprzedać, móc coś kupić, czasem wymienić. Snekkje pływały po wszystkich portach od Odessy, Hajfy i Kairu po Kaupangen (Trondheim) i Lofoty czy Winetę (Wolin) albo Truso. I raczej tylko po morzach. Miały

większe niż drakkary zanurzenie, były szersze i mniej zwrotne, zatem do pływania po rzekach zbytnio się nie nadawały. Były też wolniejsze, bo cięższe. Ale doskonale spełniały swoją główną rolę – dostarczyć towar znad Morza Śródziemnego do wikińskich grodów. Sprzedać na tingu południowe dobra, kupić to, co wikińscy rzemieślnicy wytworzyli, i znów w drogę, na południe!

Niektórym aż tak dalekie podróże nie leżały, wybierali zatem „wariant uproszczony”. Lofoty latem (bo tam idealne miejsce do połowy rekinów, wielorybów, fok, tuńczyków), a południowy Bałtyk zimą – wiadomo, podczas zimowych sztormów nasze morze najczęściej bursztynu wyrzuca. A do tego lasy. Z „futrzakami”, co nie tylko za skórę ale i za mięso czy sadełko życie myśliwym oddawały. No i smoła. Wspaniała smoła. Bez niej żadna łódź długo nie popływa...

Ekonomiści?!:)

Skoro była już mowa o handlowaniu to trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że banków wtedy nie było. Bankomatów też nie. Potrzebny był... **pieniądz**. I to nie byle jaki, ale taki, który miał konkretną wartość. W miarę jednakową od Lofotów i Islandii po Konstantynopol, Kair czy Krym. I tu chciałbym przedstawić Wikingów – geoekonomistów! Oni właśnie taki pieniądz stworzyli. Nazywał się **DENAR!**

32

Jak najbardziej, to ich wynalazek. Tak z przełomu VIII i IX stulecia. Jak wpadli na taki pomysł? No cóż, przez ... angielski podstęp.

Mówi się, że miecz rodzi tarczę, a tarcza rodzi jeszcze lepszy miecz. Anglia, kraina bogata, w złoto i srebro zasobna, wpadła Wikingom w oko gdzieś ok. 770 roku. Pływali tam na handel, widzieli bogactwo, ale i miasta z kamienia budowane. Na nie jakby za słabi byli. Tak się im wówczas wydawało. Ale przyszedł początek IX wieku. Wikingowie postanowili złupić cesarstwo Karola Wielkiego. Padł ich łupem Trewir, padła Bruggia, Antwerpia i wiele innych miast. Paryż próbowali zdobyć chyba kilkanaście razy w ciągu lat bez mała pięćdziesięciu. Był wielki. Był doskonale obwarowany kamiennymi murami i otoczony fosami. Był solidnie do obrony przygotowany i mężnie broniony. Padł dopiero w 848 roku. Przy okazji szturmów na Paryż nauczyli się Wikingowie zdobywać nowoczesne na tamte czasy miasta. Gdy jedni środkową część Francji łupili, inna grupa w 841 roku opanowała ostatecznie całą Normandię.

Anglia leżała niemalże po sąsiedzku, za kanałem. A cóż to było dla Wikingów przepłynąć kanał? Żadna tam wielka sztuka! Wojny we Francji i w Normandii dopiero zaczynali, a już postanowili owo sąsiedztwo na próbę ich mieczy wystawić. Kroniki angielskie są dość precyzyjne – w roku 793 po raz pierwszy najechali Northumberlandię. Potem pojawiali się coraz częściej i częściej. Czasem dla złota, czasem dla „niewolników-rzemieślników”. W roku 835 Wikingowie zajęli estuarium (czyli ujście) Tamizy i natarli na Londyn.



Tak wyobrażał sobie bitwę o Londyn duński autor rysunków do „Heimskringli” Erik Wehrenskiold (rycina z wydania z 1911, rozszerzonego o księgę Eddy oraz Sagę o Haraldzie Szczęśliwym).

Złupili tereny Dorset, Rochester, Southampton aż po Lindsay i Northumbrię. Stawiali wprawdzie Anglicy opór, w Dorset i Southampton doszło nawet do zaciekłych bitew, ale raz pokonani Wikingowie czuli się jedynie zachęeni do powrotu. W jeszcze większej liczbie wojowników. Dlaczego? Skoro ktoś się zaciekle broni, znaczy ma czego bronić. Nie byle czego, nie jakichś tam krytych strzechą lichych chałup, ale bogatych miast i klasztorów. Pełnych złota, srebra i innych cennych przedmiotów. Skończyło się tak, jak można się spodziewać – mieszkańcy Londynu i Kentu mieli już tak dość wojen, że postanowili zapłacić haracz. Uzgodniono warunki i z nastaniem roku 865 Wikingowie odплыnęli z Anglii statkami wyładowanymi złotem i srebrem.

Kradzione nie tuczy, słuszne to przysłowie. Łatwo przyszło, łatwo poszło – jeszcze lepsze. Wikingowie rok cały świętowali obrabowanie Anglii. Złoto i srebro przejedli, przepili, w hulankach zmarnowali i rok później pustka im w mieszkach zaświeciła. W jeszcze większej biedzie byli ci, którzy Normandię opanowali. Bo królowie Francji raz po raz Normandię odbić próbowali. Trzeba było zatem mury miast zdobytych naprawiać i wzmacniać, magazyny zbożem i mięsiwem wypełniać, ludzi na obrońców szkolić i zbroić, a to kosztowało. Co zdobyli w Anglii, szybko wydali.

O Ludwiku II, prawnuku Karola Wielkiego, zbyt wiele się nie mówi. A szkoda. Bo musiał być utalentowanym władcą, skoro bez wojny dogadał się z normandzkimi Wikingami. Na tyle skutecznie, że w 866 roku Wikingowie zawarli z nim pokój, a swoją armię wysłali za miedzę, do Anglii. Anglia Wschodnia z Kentem poddały się bardzo szybko, York i Northumbria też padły. Przyszedł czas na rozliczenie się z opornymi Brytami.

Wzorem swoich duńskich i norweskich poprzedników Wikingowie z Normandii również zażądali okupu. Ponoć chcieli tysiąc sztuk wyrobów ze złota i srebra. Dostali, a jakże, ale padli ofiarą swojej własnej wyobraźni. Ich poprzednicy też zażądali tysiąca sztuk. Dostali. Równy tysiąc. Pięknych, dużych, „wypasionych”, jak byśmy dzisiejszym językiem powiedzieli. Kielichów mszalnych, monstrancji i im podobnych dużych przedmiotów, głównie mis, półmisków i talerzy. Myśleli zatem ci z Normandii, że im poszczęści się podobnie, ale nie! Anglicy przygotowali się na żądanie okupu. Przetopili największe rzeczy na maleńkie łyżeczki, naparstki i podobne drobiazgi. Sztuka jest sztuka. Zżymali się Wikingowie, ale słowo honoru zawsze było u nich bezcenne. Chcieliśmy tysiąc sztuk? Chcieliśmy! Powiedzieliśmy, jakich? Nie! Dostaliśmy tysiąc sztuk? No to dostaliśmy... Liczyli skrupulatnie, doliczyli się równego tysiąca, spakowali to wszystko na statki i odpłynęli. Ze smutnymi minami zapewne, a Anglia śmiała się w głos!



srebrny denar z II połowy IX wieku.

Jednakże każdy kij ma dwa końce, a potrzeba jest matką wynalazków. Wikingowie postanowili, że następnym razem to ich będzie na wierzchu. Wzięli trzy czy cztery takie złote łyżeczki, przetopili, jedną monetę z tego zrobili i... w roku 867 ponownie pojawili się w Nottingham. Jeśli Anglikom wydawało się, że znów się wykpią (zawsze przecież można się tłumaczyć, że każdy może słowo „duży” inaczej rozumieć), to srogo się zawiedli. Wikingowie położyli bowiem na stole monetę i powiedzieli krótko: Chcemy pięć tysięcy takich monet. Połowa w srebrze, połowa w złocie. Danegald, danegeld czy dangeld – tak kroniki angielskich klasztorów zapisują nazwę owego okupu. Duńska forsa,

mówiąc po polsku. Dziś trudno orzec, która z tych trzech nazw na płacony okup jest tą właściwą. Jedno, co pewne – ktoś nazwę przekręcił (może seplenił, a może wymawiał ją „z angielska”) i wyszedł mu DENAR.



Złoty denar wybity przez „angielskiego” króla Ethelreda, też na okup dla Wikingów

Ponieważ denar miał określony rozmiar i wagę, szybko zyskał uznanie w światowym handlu, od Persji po północno-zachodnie krańce wikińskiego świata. Po ponad półtora wieku denar dokładnie według wikińskiego wzoru wybił Bolesław Chrobry, zaś jeszcze półtora wieku później pojawił się w obiegu denar słowiańskiego księcia Jaksy z Kopanicy (albo Kopaniku, tak czy owak grodu, który stał na miejscu Köpenick, dziś dzielnicy Berlina). Na ponad 500 lat wikiński denar był monetarnym wzorcem. Szanowanym wzorcem! Dopiero w czasach Kopernika rozpoczęło się „psucie pieniądza”, co tenże podsumował twierdzeniem, że gorszy pieniądz wypiera z obiegu ten lepszy. Wikińskie denary należały do tych najlepszych, zatem czemuż się dziwić, że chętnie były składowane jako skarb albo „rezerwa na gorsze czasy”?

Słowiańskie baranki czy wilki?

36

Kiedy mówimy o czasach wczesnego średniowiecza i relacjach pomiędzy Słowianami a Wikingami, najczęściej mamy obraz kilku drakkarów, z których wyskakują potężnej budowy mężczyźni o blond (lub rudych) kręconych włosach, niebieskich oczach, doskonale uzbrojeni, szybcy, twardzi... Rabusie i bandyci, bezlitośnie łupiący słowiańskie wsie i grody. Ale, tak zresztą bywa najczęściej, nic nie jest jednostronne. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka, jak głosi przysłowie. A kiedy wilk zbyt często przychodzi, zbiera się prędzej czy później grupa takich, co w jego rewir pójdą, wytropią i ubiją. Z całą wilczą rodziną. W relacjach międzyludzkich bywa dość podobnie.



Król Kanut podejmuje ucztą Jomskwikingów.

Ten stylizowany na rękopis z czasów średniowiecznej Anglii obraz Lorenza Frølicha (1820-1908) z norweskiego wydania sag „Heimskringla” przedstawia Kanuta (lub Knuta) Wielkiego, króla Anglii (zwanego na rycinie królem Szwedów – sic!), syna duńskiego króla Svena Widłobrodego i jego żony Świętosławy (córki Mieszka I), podejmującego ucztą Wikingów z Jomsborga

czyli Wolina (chyba, bo uczeni spierają się, czy było to jedno miasto podzielone na część „wojskową” i handlową, czy dwa oddzielne, aczkolwiek stojące obok siebie miasta). Dzik upieczony, wino w rogach... A tu miecze u pasa tych wielkich (to widać) mężczyzn. Owieczki słowiańskie? Kupcy z perkalami czy świecidełkami? Nie, raczej wytrwani wojownicy na ucztę przybyli! Przypłynęli z Bałtyku do Anglii. To może oznaczać tylko jedno – żeglowanie było dla owych Jomswikingów czymś normalnym. I tak sagi o nich piszą. Przypływali. Na Bornholm, na Gotlandię, na Zelandię, na wyspy w całym Sundzie, nad brzegi Morza Północnego. Od dzisiejszej Antwerpii po obecne Trondheim. Czasem w kilkanaście łodzi, czasem i w kilkadziesiąt. Lądowali na brzegu, gród grabili, branki i młodych chłopców na niewolników chwyтали i... odpływali w siną dal. Na Bałtyk.

Niektórych może to i zmartwi (no bo gdzież tam! My Słowianie zawsze żyliśmy w pokoju ze wszystkimi. Gdzież nam być Wikingami?), ale Słowianie wcale nie byli w „wikingowaniu” gorsi. Czasem bywali „lepsi”, bo jeśli już się temu zajęciu poświęcali, to „raz a dobrze”. Wprawdzie niby słowiański charakter to słomiany zapał, który nie czyni z nas sprawnych piratów, ale nie w tym przypadku. W Jomsborgu, mieście w części przez Słowian a w części przez Duńczyków, Szwedów, Norwegów i Sasów zamieszkanym, jedni drugich uczyli tego, co u nich najlepsze!

Słowianie mieli w sobie ową niesamowitą żywiołowość.

Sasi – umiłowanie do planowania i porządku (wcale mnie nie dziwi, że owe niemieckie Ordnung muß sein już wtedy miało się dobrze).

Szwedzi i Norwegowie – słynęli z najlepszego pod słońcem żeglowania.

Duńczycy mieli wspaniałych łuczników i szczególnie biegle opanowali walkę wręcz. Choć jeśli chodzi o topory, Norwegowie byli ponoć lepsi.

Tak oto pod jednym dachem Jomsborga zebrały się typy całkiem różne i wzajemnie się uzupełniające. Jeśli ktoś chciałby porównania, co z owej mieszanki wyszło, powiem krótko. „**Universal soldier**” czyli **Wiking doskonały**. Przy rabunkowych wyprawach – każda z umiejętności jak znalazł! Plan obmyślić? Sasi planowanie. Podpłynąć niezauważenie? Norweska sztuka żeglowania. Obsypać zaskoczonego przeciwnika gradem celnych strzał? A to już robota dla Duńczyków. Bronią się? Udało im się bramy zamknąć i teraz trzeba zrobić coś, co inni uważają za niemożliwe? Nawet i tysiąc lat później Polacy potrafili udowodnić, że dla nich nie ma rzeczy niemożliwych. Napoleon,

gdy miał problemy, mawiał „poślijcie tam moich Polaków” (Somosierra). Brytyjski marszałek Montgomery też posyłał polskich żołnierzy tam, gdzie było najtrudniej (Tobruk, Monte Cassino).

Tak się zatem stało, że żyjące na bakier z prawem słowiańskie i wikińskie wilczki gród dla wszystkich „wyjętych spod prawa i szybkich zysków żądnych” zbudowały. Jomsborg się zwał. Czy był częścią kupieckiej Winety (Wolina), czy stał tuż obok – trudno dziś dociec. Ale nie zaprzeczajmy faktom. Był. Jedyne takie miasto w całym wikińskim świecie. Siedziba piratów i najemników. Ludzi bez trwogi i skrupułów. Wikingów.

38

Ale Jomsborg to nie jedyne słowiańskie siedlisko Wikingów. O Holmgårdzie, stolicy Wikingów wschodu, już pisałem. Rozciągnęli swoje władztwo od Bałtyku po Krym i Morze Czarne. I dobrzy byli. Tak dobrzy, że warto ich było kupować „za wszelką niemalże cenę”. Pokazali raz i drugi Bazyleusom (czyli cesarzom Konstantynopola) co potrafią. Wprawdzie Konstantynopola nigdy nie zdobyli (to jednak za wielkie miasto), ale jeśli inny cel sobie obrali, ot taką choćby Sofię w Bułgarii, szli i zdobywali.

Robili to tak dobrze, że któryś z cesarzy bizantyjskich postanowił „kupić ich na służbę”. No cóż, Konstantynopol... Wspaniały dwór, bogaty pałac cesarski... Bogaty nie tylko w złoto i wspaniałości całego znanego świata, ale też w intrygi. Żaden Bazyleus (czyli cesarz wschodu) nie był pewien swego życia, a wielu kończyło je znacznie przedwcześnie, często tuż po objęciu władzy. Bazyli II (zwany Bułgarobójcą!!!) postanowił zmienić wrogów w przyjaciół. Po prostu wysłał posłów na wschód, na ziemie Waregów (jak naddnieprzańskich Wikingów zwano), a ci wrócili ze sporym oddziałem najdzielniejszych tamtejszych wojów. Rdzenni mieszkańcy Konstantynopola zostali od Bazyleusa odsunięci, a jego ochronę przejęli słowiańscy Wikingowie służący w specjalnym oddziale nazywanym gwardią wareską. Nieprzekupni (bo nie dość, że doskonale opłacani, to jeszcze im Bazyli II dał im przywilej, że ponoć co w pałacu cesarskim jest a w ręce wezmą, mogą sobie zatrzymać), niepodatni na knowania i intrygi polityczne (bo im, obcym, obojętne było, kto tam personalnie na tronie; grunt, że dobrze płaci, a takiemu panu służy się wiernie). Jeśli dodać do tego, że byli niezwykle biegli w sztuce walki, otaczali w każdej z bitew cesarza, chroniąc go przed atakiem nieprzyjaciół. W pałacu też. Gotowi oddać w służbie swoje życie. Jak na Wikingów przystało...

Wikińsko-słowiańska dusza...

Skoro już przy stworzonym przez Kraszewskiego stereotypie Wikingów byliśmy raz, warto do „Starej baśni” na moment powrócić. Czy pamiętacie, jak się kmiecie zbierali, by wojnę z Popielem uradzić? A ileż to było targów, jako że „każdy sobie rzepkę skrobie”? I żadnego jednego wodza-kniazia, tylko rada, co tam raz na jakiś czas będzie się zbierać i „zbiorową mądrością” prowadzić. No bo jakby miał być wódz, jeden wódz, co wszystkimi ma prawo rządzić, to tylko JA! A ponieważ takich, co to „że jak nie ja, to nikt” była generalnie większość (albo dokładnie wszyscy), lepiej było „radę starszych” ustanowić.

Widać, takie były ówczesne obyczaje poza światem chrześcijaństwa, gdyż i u Wikingów TING, czyli takie pomieszanie parlamentu z targiem i, od czasu do czasu, areną do pojedynków na śmierć i życie, raz na jakiś czas, zwykle wiosną zwoływano. Albo po powrocie z wyprawy, gdy łupy były dzielone. Krzyki, wrzawa, przechwalanie się, obraźliwe słowa niczym pioruny latające. Oj, skąd my to znamy? No może jeszcze i to dopowiedzieć trzeba, że zwykle kończyło się „**rozwiązaniem siłowym**”. Stawało dwóch na arenie i... kto wygrał, znaczy się mówił prawdę, bo tego bogowie w owym pojedynku wsparli. Zwycięzca brał zwykle wszystko, co pokonany miał lub miał dostać. Polska szlachta od zawsze takie rzeczy lubiła; patrząc się na obecne obyczaje Bogu wypada dziękować, że pojedynki są dziś zakazane, bo większość naszych elit wytłukłaby się ^{*)}, wybiła ^{*)}, wystrzelała ^{*)} czy po prostu wymordowała ^{*)} wzajemnie (^{*)} wedle wyboru).

Kolejne podobieństwo? Proszę bardzo. Jest u Kraszewskiego motyw uczty. U Popiela (gdy miód zatruty podaje), w świątyni, u kmieciów... Nie wątpmy, że już w tamtych czasach chętnie po napoje wyskokowe sięgano. Miód albo piwo, na co tam kogo było stać.

Wikingowie, tak by się mogło wydawać, dzięki kupcom między południem a północą Europy krążącym, w jeszcze lepszej sytuacji być powinni, bo dostęp do win z obszaru Morza Śródziemnego, Nadrenii czy Francji mieli. Mieli, ale nie korzystali. Miód ze słowiańskich borów? A owszem, był on u nich w cenie. Na najlepszych ucztach podawano. Ale „hitem” ich świata było piwo. Wspominałem już, że wodę pijali, jak piwa nie było. Tak byli chowani, bo ponoć i dzieciom już je do picia dawano. Ale trzeba jeszcze powiedzieć, jak piwo pito. Otóż, z żadnych tam kubków czy garnuszków. Z rogu. Zachowało się

ich dość sporo. Przeciętna objętość? Kwarta lub półtorej kwarty. Kwarta? Nie, nie, żadne tam ćwierć litra. Kwarta czyli $\frac{1}{4}$ galona. Znaczy się tak trochę ponad litr na nasze. Półtorej kwarty to... mniej więcej trzy butelki (te większe a' 0,66 litra) piwa. Na raz. Sam róg, jako że ze srebra lub złota (albo choćby z cyny) swoje ważył. Jak do takiego rogu wlać jeszcze tak z półtora litra piwa, nie ma co, w ręce się ciężar poczuje. A to róg przecież, na stole nie postawisz. Chyba że różkiem do góry, ale to można zrobić tylko wtedy, gdy róg jest pusty... I nie sposób ominąć jeszcze jednej istotnej kwestii – podczas wikińskiego przyjęcia toasty rozpoczynał skald (pieśnią chwalać gospodarza), a potem każdy po kolei musiał coś powiedzieć. Tyle, że każdy toast to róg do dna wypity. Bo po toaście – róg na stół! Różkiem do góry, aby wszyscy widzieli, że wypity. Bo kto nie wypił, gospodarza obrażał. Skąd my to znamy??? „Prawy do lewego!” chciałoby się zawołać na początku, a potem dodać jeszcze „no co, za moje zdrowie się nie napijesz? Ze mną nie wypijesz???” Nie dziwą zatem opisy wikińskich uczt, z których goście czasem wynoszono na drzwiach (bo kto by takiego oposa, ze sto dwadzieścia kilo wagi „na trzeźwo” plus wypite piwo, zjedzone mięsiwo i do tego w zbroi dźwignął inaczej???), choć też i bawią czasami, gdy poniektórzy goście po prostu siadali na ... zydlu w beczce, i gdy piwo przez nerki im przepłynęło, robili (no wiecie, co robili) prosto do beczki, podłogi gospodarzowi owym płynem fizjologicznym nie brukając.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Wikingowie i Słowianie sporo wspólnych cech mają. Niby fizycznie odmienni (gdzie tam wśród słowiańskiego genotypu rudą wiewiórę o kręconych lokach i niebieskich oczach znaleźć???), ale charakterami... Oj, coś my jakby z jednej gliny ulepieni jesteśmy!

A skoro już padło słowo skald (czyli taki mądrała, co wierszem albo pieśnią gospodarza sławił albo dowcipem nietrafną decyzję podsumowywał), na polskim dworze królewskim też taki był. Stańczyk się zwał. I wcale go nie musiał Zygmunt Stary Waza ze Szwecji ze sobą przywozić, bo już na jagiellońskich dworach hasał. Trudno powiedzieć, czy instytucja skalda-stańczyka to import ze świata Wikingów, ale z pewnością my wszyscy, Słowianie i Wikingowie, uwielbialiśmy (i nadal uwielbiamy) słuchać, gdy inni z władzy kpią.

Król Harald.

Pora na powrót do przeszłości. Podróż przez wikiński świat rozpocząłem od przedstawienia na stronie tytułowej jednej z tych postaci, która, paradoksalnie, wywarła wielki wpływ na to, co działo się w kraju Mieszka, a przy okazji Norwegów zjednoczyła. I uczyniła z nich naród na długo przed tym, nim pojęcie to weszło do współczesnego słownictwa.

Harald II Blaatand (po duńsku) albo **Blåtand** (po szwedzku i norwesku). Po polsku – Harald **Sinozęby**. Król Danii. Panował gdzieś pomiędzy 958 a 986 rokiem, choć obie te daty są dość płynne. Jego królestwo rozciągało się od okolic dzisiejszego Słupska po norweskie Trondheim oraz od dzisiejszej Bremy po Norrköping (w dzisiejszej Szwecji). Ziemie norweskie zajął w pierwszych latach swojego panowania niemalże bez walki – po prostu były to wówczas pojedyncze, porzucane na wielkich przestrzeniach i wiecznie walczące ze sobą osady. Ich mieszkańcy chyba nawet z pewną ulgą przyjęli początkowo duńskie panowanie, gdyż dawało im ono odrobinę wewnętrznego bezpieczeństwa i przenosiło spory pomiędzy wodzami – jarłami z ziem norweskich na dwór królewski w Jelling, do ówczesnej stolicy i głównego grodu królów Danii. Tyle, że utrzymanie tego spokoju wymagało pieniędzy na utrzymanie wojska. Wpadł zatem Harald na pomysł obłożenia Norwegów podatkami, a zadanie zbierania podatków powierzył chrześcijańskim kapłanom. Zezwolił im przy tym na krzewienie chrześcijaństwa **ogniem i mieczem** niemalże dosłownie. Kapłani niszczyli zatem pogańskie świątynie, zajmowali święte miejsca wraz z mieniem, nakładali na ludność obowiązek budowy i utrzymywania kościołów „nowej wiary”. No i jeszcze zbierali dla króla podatki. Jako że umieli pisać, to i zapisywali. Kto ile kominów ma (bo od komina podatek dymowym zwany), łodzi (od żagla), ziemi, krów, świń, koni (też opodatkowane)... Zapisane? Do króla wysłane? To już się nie zachachmęci. Podatki dotknęły wszystkich. Bez jakiegokolwiek przesady można powiedzieć, że Harald rzucił płonąca pochodnię na beczkę prochu. Mieszkańcy niemalże całej ówczesnej Norwegii powiedzieli „NIE!”, wybili duńskie załogi w grodach, spalili chrześcijańskich misjonarzy wraz z ich świątyniami (wcześniej tak samo ginęli kapłani Odyna i innych wikińskich bogów) i podatkowymi księgami, po czym stanęli do walki przeciw Danii. Od Trondheim po Vik. Chyba wówczas

tamtejsi Wikingowie zaczęli o sobie mówić „My, Norwedzy”. Zjednoczyła ich walka przeciw wspólnemu wrogowi.

Tak na marginesie: zauważyłem wcześniej, że jakoś dziwnie blisko Wikingom (Norwegom, Normanom) i Słowianom, a Polakom w szczególności. Tak mentalnie. Sagi opowiadają nie tylko o wojnach, ale też, jakby mimochodem, trochę o obyczajowości. Wikingowie jakoś jednej „centralnej” władzy królewskiej nie lubili. Woleli świat, w którym każdy jarl (lokalny wódz, głowa rodu, przywódca wioski) jest panem u siebie. Coś jak nieco późniejsze polskie „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!” Zaś jak coś do zrobienia „we wspólnym interesie”, to po negocjacjach, za „stosowną zapłatą”, na żaden tam rozkaz królewski. Wydaje mi się, że polskie „musi to na Rusi, w Polsce jak kto chce” było u nich kilkaset lat wcześniej. Choć... Nie. U nas zresztą chyba też już to było, mniej więcej w tej samej epoce. Te wiece kmieciów w „Starej baśni”... Oj, tak z powietrza to się zapewne kilkaset lat później nie wzięło!

Harald urodził się w Jelling ok. 920 roku, zmarł w Wolinie albo Jomsborgu gdzieś w roku 985 lub 986. Był synem Giorma Starego i Tyry zwanej Matką Królów. Nie przeszedł do historii z przydomkiem Giormssen (syn Giorma), ale właśnie jako Sinozęby, pod przydomkiem pochodzącym od malowanych na czarno zębów przednich (Wikingowie, chyba jako pierwsi w historii europejskiej kultury, byli zwolennikami tatuaży i barwienia zębów). Harald to najprawdziwsza postać, która akurat z legendami czy baśniami nic wspólnego nie ma. Syn z królewskiego rodu, ale to wcale nie oznacza, że drogę na tron miał prostą i równą, taką bez przeszkód. Króla wybierał ting, ale taki specjalny, dla ważniejszych panów i istotniejszych kapłanów. Coś jakby sejm elekcyjny w późniejszej Polsce. Prawo do korony to jedno, zdobycie korony – inna sprawa. Trzeba było czasem ziemię jednego czy drugiego oponenta najechać, z bratem albo królową–matką i jej nowym mężem zawalczyć... Oj, musiał pan Shakespeare nieźle opowieści sag znać, nim „Hamleta” napisał.

Potwierdzeniem niektórych faktów z jego życia (oprócz „Heimskringli” i innych sag) są choćby kroniki Świętego Cesarstwa Rzymskiego z czasów Ottona II. Niezbyt miło jest w nich Harald przedstawiany. No cóż, jak każdy władca tamtej epoki dążył do powiększenia swojego królestwa. Piastowie, mniej więcej w tym samym czasie, z lokalnych władców panujących na ziemiach nad Wartą (od Poznania po Gniezno) wzrosli na książąt sięgających po Małopolskę,

Mazowsze, Ziemię Kaliską. Sasi, wówczas jeszcze zamieszkujący tereny na zachód od Łaby (tak na południe od dzisiejszego Hamburga i Bremy po Getyngę, Hanower i Paderborn) wyciągali swoje łapska po ziemie Serbów z Miśnią i Budziszynem czy Słowian Połabskich z Poczdamem (niemiecka nazwa Potsdam pochodzi od słowiańskiego Pode Dubem - pod dębem) i Kopanicą (dziś dzielnica Berlina o zmienionej nazwie Köpenick).

Duńczycy (kroniki cesarskie stawiają znak równości pomiędzy słowami Duńczyk i Wiking; zresztą w tamtej epoce istotnie było to niemalże równoznaczne) rozpychali się na wszystkie strony świata.

Wzięli południowe wybrzeże Bałtyku, aż po Słupsk (a, być może, nawet i Gdańsk czy Truso), ale to się działo daleko od granic Cesarstwa.

Wzięli sobie ziemie zwane Götaland (Ziemia Gotów, Gotlandia, ale te leżące na Półwyspie Skandynawskim, nie mylić z wyspą o tej samej nazwie), aż po Kaupangen czyli dzisiejsze Trondheim. Też daleko od Cesarstwa.

Zdobyli Irlandię i częściowo Anglię. Jeszcze za czasów rzymskich Europa wycofała się w prób z ich utrzymania w swoich granicach – mur Hadriana nie wystarczył, aby Piktów z północy (czyli Szkotów po naszymu) skutecznie powstrzymać, o najazdach anglo-sasów nie mówiąc.

Zdobyli Wikingowie Normandię. Bolało, ale akurat z tamtejszymi Celtami to już Rzymianie za czasów Gajusza Juliusza Cezara wojowali i co Galię podbili, mijają kilkadziesiąt lat i kolejna rewolta. W obliczu prących od południa Maurów, którzy zajęli cały Półwysep Iberyjski i mieli ochotę na Francję, sprawiająca wieczne kłopoty Normandia jakąś tam stratą nie była.

Paryż... Przez lata Wikingowie o Paryż wojowali. Zdobyli. Na krótko. Raz. W 848 roku. Obrabowali i odeszli, odpłynęli w siną dal. Wrócili raz jeszcze, w 864, ale tym razem miasto było na ich przyjęcie przygotowane. Przyszli, przegrali i odeszli. Na zawsze. Cesarstwo jakoś to przeboleło, na przyszłość Paryż dostał lepsze mury obronne. Na kilkaset lat były jak znalazł. Pieniądze się dla Paryża znalazły. W końcu tylu pomniejszych władców się cesarstwu trybutem opłacało...

Jednakże kiedy Harald sięgnął po ziemie dzisiejszego Szlezwiku-Holsztynu z Bremą (w 978 roku) – to już było trudno przeboleć. Brema, wielki port handlowy i biskupstwo, była bogatym miastem. Zapewne płaciła Cesarstwu stosowne do swojego bogactwa podatki. Nawet Ibrahim ibn Jakub, arabski handlarz, żeglarz i obieżyświat, który odwiedził Lofoty, Prusy z Truso,

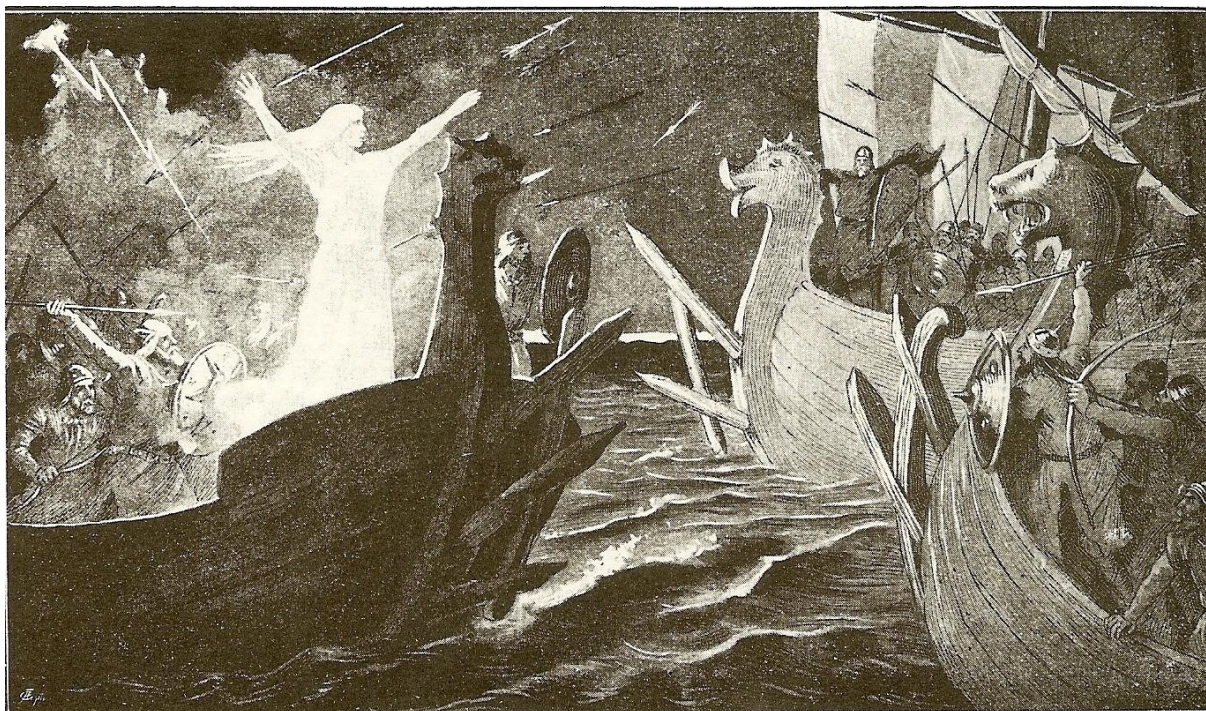
Jomsborg (Wolin), zjeździł Szwecję i Danię, był pod wrażeniem bogactwa Bremy, którą przyrównywał do Konstantynopola!

Zapewne bremeńskie (i nie tylko) łupy oraz podatki dały Haraldowi siłę do walki ze zbuntowanym norweskim jarlem Håkonem. Zebrał armię, (no może kupił), głównie z Wikingów z Jomsborga i wszystkich innych Wolnych Wikingów z całego południowego wybrzeża Bałtyku złożoną, przekroczył Cieśniny Duńskie, zdobył port w Vik (czy też Viken) i postanowił, omijając Oslo, zetrzeć się z Håkonem na morzu. Wybrał fatalnie. Zatoka Hjarungawaag (Hjårungavaag, Hjörungavágr, Hjörungavåg – ile sposobów odczytywania znaków runicznych, tyle wersji pisowni), choć dziś nie wiadomo, która to dokładnie, złą sławą się w tamtych czasach cieszyła. Saga o Wikingach z Jomsborga mówi, że wiatr wiał tam zawsze z kilku stron naraz, co powodowało trudności w nawigowaniu, zaś saksoński kronikarz (Saxo Grammaticus) w „Czynach Duńczyków” (Gesta Danorum) lokuje zatokę na północ od Allesund, opisując przy okazji niezwykle burzę z piorunami i gradobiciem, która przyczyniła się do klęski Haralda. Ponoć fale zrobiły się tak wielkie i nieopanowane, że łodzie Wikingów z Jom zderzały się ze sobą i wzajemnie potopiły. „Heimskringla” opisuje natomiast iż ponoć przed bitwą jarl Håkon złożył bogini Yrpie ofiarę ze swojego pierworodnego syna. Yrpa, nieszczęśliwa dziewczyna, która kochała młodego Wikinga imieniem Thorgerdr, nie chciała wyjść za mąż za wskazanego przez ojca starca, w dodatku Duńczyka i chrześcijanina. Ojciec zabił nieposłuszną córkę, kazał przywiązać kamienie do jej stóp i zrzucić ciało ze skał do wody. Jej młody ukochany, Thorgerdr Hölgabrudr, skoczył za ciałem ukochanej w głębinę i już nie powrócił. Ponoć burza się zrobiła wielka, z nieba były pioruny, aż rozległ się głos mówiący, że Yrpa będzie obrończynią Wikingów, tych szanujących dawne prawa, Odyna i innych bogów!

Popłynął jarl Håkon na północ, do królestwa Hålogaland, pod same Lofoty, bo tam ponoć na wyspie świątynia Yrpy stała, ofiarę ze swego siedmioletniego syna złożył i wezwał boginię na pomoc. Kapłani w odczytywaniu znaków biegli powiedzieli mu, że gdy na wprost duńskich łodzi stanie, przybędzie mu Yrpa z pomocą.

Wierzyć w to, czy nie, ale „Heimskringla” twierdzi, że tak się stało. Stała Yrpa na dziobie łodzi Haakona, blaskiem oślepiła Duńczyków, a z jej rąk wylatywały strzały, które celu nie chybiały. Na sąsiedniej łodzi stał jej

ukochany Thorgerdr Hölgabrudr, przywrócony do świata żywych przez boga Njördra. Wyłonił się z głębin morskich i zesłał na Duńczyków burzę z gradem, prosto w twarze siekącym. I poszli Duńczycy i ich najemnicy na dno...



Scena poświęcona udziałowi Yrpy w bitwie pod Hjørungavåg. Obraz autorstwa Jenny Nyström-Stoopendaal pochodzi z książki A. Ekermanna *Från Nordens forntid : Fornnordiska sagor bearb. på svenska / Czasy wczesnych Normanów. Wczesnonordyckie sagi w przekładzie na szwedzki*; Stockholm, wydawnictwo P. A. Norstedt (1895).

Gdy tylko wieści o klęsce Haralda w Norwegii na dwór cesarza Ottona II dotarły, ten postanowił odzyskać to, co będąc jeszcze królem (do 981 roku) utracił. Poszła zatem wyprawa cesarska na próbującą otrząsnąć się po norweskiej klęsce Danię i w 983 nie tylko Bremę i Lubekę odzyskano, ale też Kilonię wraz z południową częścią Półwyspu Jutlandzkiego do Cesarstwa przyłączono. Klęska duńska na całego. Tego to mu nawet własny syn Swen Widłobrody nie wybaczył – podjudzony przez Håkona Sigurdssona obietnicą pokoju obalił ojca i wygnał. Do Jomsborga, najsilniejszego grodu słowiańskich Wikingów. Gościem to tam Harald nie był, więźniem raczej. Długo nie pożył. Kroniki Cesarstwa piszą, że zmarł w roku 985 od ran poniesionych w wojnie z Norwegami (przez trzy lata mu się paprały? Raczej w to nie wierzę). Sagi duńskie (wraz ze słynnym kamieniem w Jelling) piszą, że zmarł z tęsknoty za ojczyzną. „Heimskringla” jest mniej wybredna. Siedział ponoć Harald w lochu, tuż przy otaczających Jomsborg bagnach. Od wilgoci i chłodu suchoty (czyli gruźlica) go dopadły. Pół roku pluł krwią, aż szezł. A Swen ojcu kamień runiczny w Jelling wystawił!



Na zdjęciu (fotografia własna autora): kamień z Jelling. Pokrywające go runy mówią o życiu Haralda Sinozębego, jego walce o tron i „zjednoczeniu” Danii i Norwegii. Słowo zjednoczenie ująłem w cudzysłów, albowiem z punktu widzenia Norwegów był to **podbój**. Coś jak **Anschluß** Austrii przez hitlerowską Rzeszę w 1938 roku... Niby bez oporu. Niby na „wezwanie ludu Austrii”. Niby wkraczające niemieckie wojska były witane przez tłumy uśmiechem i wiwatami. Tylko jakoś ten sam „lud Austrii” tak bardzo chciał połączenia z Rzeszą Niemiecką, że trzeba było niemiecką armię do Austrii wprowadzić, obalić konstytucyjne władze i ustanowić nowe. Dobrowolność jak się patrzy... Z Norwegami i ich „pragnieniem zjednoczenia z Danią” było bardzo, ale to bardzo podobnie.

Opowiadanie o Wikingach rozpocząłem od podobizny stworzonej za wyobrażeniem norweskiego malarza (ponoć Krogh wypatrzył w rybackim porcie rybaka - biedaka, który w jego wyobrażeniu był idealnym wikińskim typem; pewnie mogło tak i być). Ale zachował się znacznie, znacznie starszy wizerunek. Pewnie też stylizowany, ale nieco bliższy czasom samego Haralda. W roku 970 (wiemy to z kroniki biskupstwa w Bremie) Harald dał się ochrzcić i wprowadził Danię w obszar chrześcijańskiej Europy. Chyba nie bezinteresownie, bo Mieszko na cały obszar od Kamienia Pomorskiego po Roztokę (Rostock) zęby sobie ostrzył i byłoby mu łatwiej iść na Danię jako krzewicielowi chrześcijaństwa



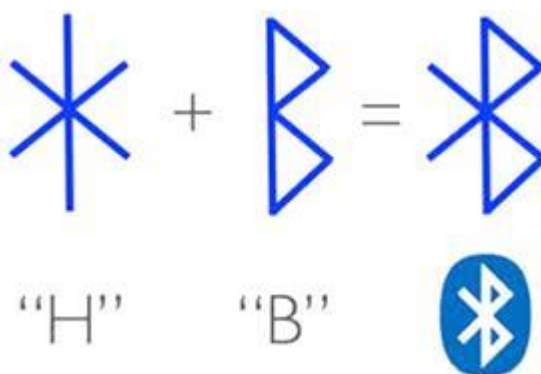
Scena przedstawiająca chrzest Haralda.

To jeden z nielicznych ocalałych fragmentów złotych wrota do bazyliki kościoła w Tamdrup, w Danii. Dziś resztki tych drzwi (no cóż, były ze złota, więc wielu przyczyniło się do ich rabunku i częściowego zniszczenia) znajdują się w muzeum „Kongernes Jelling” w miejscowości Jelling, w Danii.

Zdjęcie pobrane ze strony muzeum, autor: Michael Ribber Jorgensen.

Harald Sinozęby nie został zapomniany. Jest wśród nas. A to za sprawą jego własnego lenistwa. Jak każdy władca musiał dzień w dzień podpisywać dziesiątki pism, wyroków, nakazów, rozporządzeń. Wymyślił sobie zatem, że nie będzie się podpisywał pełnym imieniem i przydomkiem, lecz inicjałami. H.B. I to w dodatku połączonymi w jeden znak. Kilka kresek i już. Załatwione. I następny papier, i jeszcze następny... Poza tym, jeśli to nie osobisty podpis a znak jedynie, zawsze można jakiemuś skrybie nakazać, by w imieniu króla co trzeba podpisał, prawda?

Zarówno tenże symbol połączonych wikińskich liter runicznych HB (jak na ilustracji poniżej) jak i sam przydomek, Blåtand czyli po angielsku Bluetooth, stał się powszechnie używaną nazwą sposobu łączenia się telefonów komórkowych.



No ale czy można się dziwić, skąd taki symbol, skoro pomysł na ujednoczenie systemu transmisji danych pomiędzy telefonami komórkowymi wyszedł z firmy Ericsson? Było nie było, chciał Harald całą Skandynawię pod jedną duńską koroną zjednoczyć. Nie wyszło, ale idea „nadbałtyckiego zjednoczenia” została.

Gdzie dwóch się bije...

Tam trzeci korzysta? No niby tak, tak brzmi przysłowie. Ale w tym wypadku przekornie i zgodnie z historyczną prawdą napiszę, że „...**tam Mieszko dostał po łapkach!**”. Tak się właśnie stało. Przedstawiając postać Haralda Sinozębego napisałem, że w roku 970 dał się ochrzcić, bo Mieszko zęby sobie na Pomorze, czytaj: obszar od Słupska po Roztokę czyli dzisiejszy Rostock, a może i od Gdańska po Bramę (Bremę, dziś Bremen) lub choćby Lubekę ostrzył. Miał Mieszko plan zacny. Nad południowymi brzegami Bałtyku zapanować i o te ziemie swoje księstwo powiększyć. Szczerze mówiąc, chyba jedyny możliwy do realizacji.

Na południu Czechy. Królestwo chrześcijańskie, w dodatku żonę stamtąd sobie wziął, zatem nietykalne. Pachniał Mieszkowi wspaniałymi bogactwami Śląsk, oj pachniał, swędziały go łapki, by ziemie od Krakowa (wtedy jeszcze czeski, co potwierdza arabski podróżnik Ibrahim ibn Jakub) po Wrocław wziąć, ale póki co musi mu jedynie Ziemia Ślążańska wystarczyć, bo Kłodzko jeszcze czeską warownią jest, a granica na rzece Nysie Kłodzkiej i po Górach Sowich umówiona została. Berdo (czyli warta nad brodem, stąd późniejsza Warta i dzisiejsze Bardo) takim „punktem kontroli granicznej” jest i tego Mieszkowi zmienić nie wolno. Słowo dał, gdy się o rękę Dobrawy z Czechami ugadywał...

Nad środkową Łabę też trudno pójść. Słowianie tam siedzą. Silni, w grodach już po części z kamienia, do tego w dobrej komitywie z Sasami, co od nich na zachód. Uderzysz na Lubuszan, Łużyczan czy Miśnieńczyków, obronią się, za to później wraz z Sasami w odwiedziny pod Poznań przyjdą. Na nich się już praojce Mieszka sparzyli, więc musiał odpuścić.

Wschód... Tam Wikingowie z kniaziami na Holmgårdzie. Nie byle jakimi kniaziami, skoro w 970 roku Jaropełk postanowił zdrzeć z Bizancjum i armią wielką dowodzoną przez Swenelda (czy mi się tylko wydaje, że to imię jakby do słowiańskich nie należy???) natarł od Krymu na Bułgarię i Grecję? Na wschód, nad Dniepr, rady nie da. Przynajmniej nie teraz.

Prusowie z Jaćwingami, Litwinami i Żmudzinami na wschodzie. Może aż tak groźni nie byli, ale za pełnymi bagien puszciami siedzieli. Wisłę to jeszcze mieszkowi woje znali, ale co od niej na wschód? Ano niewiele. Może trochę bursztynu. Bo miodu i skór oraz innych leśnych dóbr to ci akurat u Mieszka dostatek.

Marzył sobie zatem Mieszko, że jakby tak południowy brzeg Bałtyku wziąć, to dostanie nie tylko bursztyn, ale i bogate kupieckie grody z portami! Tyle, że one wszystkie Duńczykom trybut płacą i są królom duńskim rade, bo ci chronią je przed najazdami Wikingów. Swojego się nie rusza! Może i mowa w owych nadbałtyckich grodach-portach głównie słowiańska, ale co z tego? Przyjdzie Mieszko? Zdobędzie? Zdobędzie, bo się jego armii pojedynczy gród nie oprze. Ale też ma Mieszko pieszych i konnicę jedynie. Łodzi nie ma. A to oznacza, że jak Wikingowie po łupy przy płyną, nie pogoni ich przez morze. Grody księciu Mieszkowi niechętnie, ale ma on na nie chrapkę wielką. Już widzi, jak wszystkie grody bursztynem handlujące jemu trybut płacą. A i rybacy też! Jest o co powalczyć. A najłatwiej to zrobić tak: uderzyć na Jomsborg, Roztokę i na zachód, po Łabę. Do oficjalnej granicy cesarstwa. Odciąć Danię od tych grodów, by droga z Danią je łącząca albo przez mieszkowe ziemie wiodła, wtedy myto się sute weźmie. Albo niech kupcy morzem płyną, a kapryśne to morze, oj kapryśne. Niejedną łódź kupiecką zabrało, więc jeśli tylko można, idą kupcy lądem. Niech zatem przez jego ziemie idą! Nawet drogi im się lepsze przygotowuje, grodów więcej nastawi, by się bezpieczniejsi czuli. Niech ino trybut i myto mi płacą, tak sobie Mieszko kombinuje.

Piękna wizja, a tu, masz ci los! Harald król Danii ochrzcić się kazał, z rąk cesarza Ottona I koronę królewską przyjął i jako krzewiciel chrześcijaństwa na pogańskich ziemiach nad Bałtykiem zwać się kazał. Do tego zażądał zwrotu Sasina (Szczecina), co go ledwie Mieszko zajął był...

Głowił się zapewne książę Mieszko, jak tu z tej opresji wyjść jako tako, gdy dobre wieści z Danii dostał. Duńczycy bunt podnoszą. Bo głupi był Harald. W biały dzień i przy świadkach pozwolił mnichom Nowego Boga świątynie starych bogów zajmować, kapłanów zabijać albo żywcem, gdyby się w świątyni zamknęli, palić. Jakże to ma się podobać, gdy z jednej strony nauka „NIE ZABIJAJ!” a z drugiej – mordowanie kapłanów „dawnych bogów”?



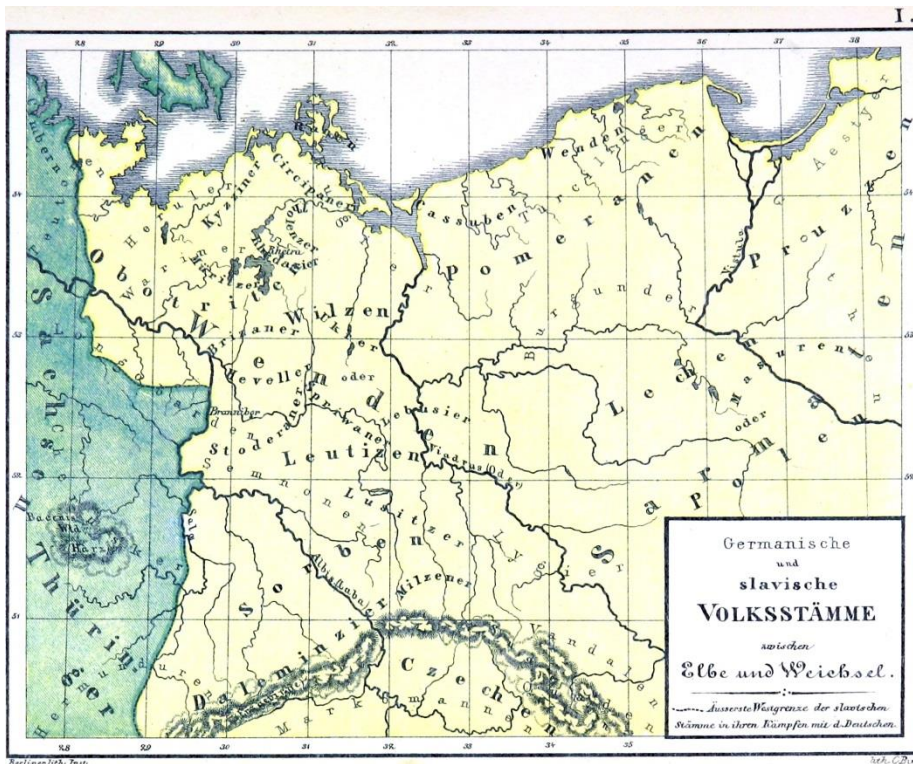
Łodzie
przywożą
mnichów.

Haralda
uczonych

Rycina
Krogha z norweskiego
wydania „Heimskringli”.

Uśmiechał się Mieszko zapewne pod nosem, bo on takiej głupoty nie popełnił. Posyłał, gdzie było trzeba, swoich zaufanych. Ale nie takich ciężkozbrojnych, a jakby kupców, może wędrowców jakichś, skaldów czy innych podróżników „bez celu”, co to po świecie włóczą się i dziwy opisują. Ci nawet w świątyni na noc nie zostawali, ale za dnia oglądali, co i jak, a nocą wchodzili jak złodzieje. Po cichutku. A to kapłanowi gębę zatkali i trzymali tak długo, aż się udusił, a to trutki zaczęły do wody dolali. Albo w lasach okolicznych czatowali. Wyszedł kapłan ze świątyni za ziołami? Wszedł w las? Ano wszedł i zaginął. A potem resztki znajdowano. Nogę złamał tak parszywie, że się do świątyni wrócić nie mógł i go wilcy obzarli... Wiedział Mieszko, że powoli trzeba sprawę załatwiać. Niby nic na siłę, ale pomagał Nowemu Bogu, jak mógł. Gdzie kapłana starej wiary brakło, świątynię kazał przebudować i kapłana nowej wiary na niej osadzać. Powoli, bez pośpiechu. A jak już z nowym kapłanem jego oddział zbrojnych przyjechał, to nie po to, by mieczem go do świątyni wprowadzać. Znak to boski, tłumaczyli. Zmarł ci kapłan, znaczy się czas się jego skończył. A księżę Mieszko kapłana nowej wiary przysyła. Przyjmijcie go godnie.... I dzięki temu on, Mieszko, spokój miał, a przeciwko Haraldowi jego własni ludzie się buntowali.

Duńczycy biją się z Duńczykami... Okazja, jak mało kiedy. Trzeba spróbować, pójść na zachód, za Odrę, i brać, co się da. Roztokę. Lubekę. Aż po Łabę! Brać, gdzie po naszymu czy serbsku mówią. Kazał się Mieszko do wojny gotować. Powoli. By wiosną roku 972 ruszyć.



Granica germańsko-słowiańska i ludy słowiańskie między Łabą a Wisłą w czasach Karola Wielkiego.

Mapa z wydanego w 1869 roku atlasu historycznego autorstwa Wilhelma Fix'a.

Było co brać, skoro ówczesne księstwo Mieszka to tylko obszar Lachów (Lechen)...

Zapomniał jakby Mieszko, że skoro on dostaje wieści z Rzymu albo z Augsburga czy Regensburga, gdzie tam akurat cesarz Otton przebywał, czy z Jelling, siedziby królów duńskich, to i zapewne na jego dworze są oczy i uszy innych władców. Bo przecież wiedzą sąsiedzi, kto na czym siedzi. Wolinianie się pierwsi zatrwożyli. Pamiętali, jak Mieszko na Sasin (Szczecin) poszedł. Pamiętali, jak ich łodzie noc w noc pomoc dla oblężonego grodu wiozły, ale nic to nie dało. Sasin padł i teraz mieszkowego rządcę miał. I Mieszkowi musiał się trybutem opłacać. Pchnęli kupcy z Winety posłów. Do Ottona, cesarza. Do Haralda. Króla Danii. Otton, choć w Italii trzeci rok wojował, rozzłościł się na Mieszka. Ten mu bowiem byle jaki trybut z ziem po rzekę Wartę płacił, a tu zajął Lubusz wraz z owym grodem Sasinem, z którego sam trybut pobiera. I to taki, że trybut cesarski opłaciwszy jeszcze mu drugie tyle zostaje... Postanowił Otton dać Mieszkowi nauczkę. Nie wprost, nie żeby wojska cesarskie z Italii wyprowadzać i gdzieś na północ Europy wieść, ale poprzez „kontakty i układy”.

Harald król Duńczyków istotnie miał problemy w swoim własnym kraju, ale podpowiedział, co można zrobić. Wineta z Jomsborgiem najbardziej się mieszkowego najazdu obawiają. Niech się z innymi grodami-portami znad Morza Wschodniego (Bałtyk to tylko nasza nazwa; dla obszaru niemiecko-skandynawskiego jest to Morze Wschodnie) zmówią, niech swoją ziemię uzbroją, niech wojowników skąd się da ściągną, i niech trochę pieniądza dadzą.

Jest u Sasów wielu „możnych”, co to tytuł zacny z grodem mają, ale groszem nie śmierdzą. Ci, za zapłatą godną, drogę Mieszkowi zastąpią i za Odrę odrzucą.

Zmówił się zatem Otton z Hodonem panem na Magdeburgu, ten sobie wziął na kompana Siegfrieda Grafa z Walbecku, i przygotowali się obaj sascy wielmoże do rozprawy z Mieszkiem. Z duńskim wsparciem w ludziach i pieniądzu, bo Duńczykom całkiem się „nowa formuła królewskiej władzy” spodobała. Skoro król przez kapłanów namaszczone świętymi olejkami i z woli Boskiej panujący, to koniec tingów. Koniec strachu, czy aby od panowania nad grodem nie odsuną, czy syn najstarszy będzie nadal panem - jarlem, czy już tylko „możnym, ale poddanym”. Dali więc duńscy panowie i ludzie, i pieniądze. Mieszko ich pogodził. Spory o Nowego Boga aż tak istotne nie były.

Tym razem mieszkowi ludzie zawiedli. Przecież pływały łodzie kupieckie po Łabie, przez Magdeburg też pływały. A kilku tysięcy zbrojnych nie dostrzegły? Fakt, panowie na Magdeburgu zawsze silną załogę w mieście utrzymywali. Ale żeby chorągwi pana z Walbecku nie dostrzec? Ani wikińskich sztandarów Duńczyków? Stało się, jak się stało. Ruszył Mieszko z Poznania końcem maja. Jako, że dużą siłą ludzi szedł, szedł powoli, za Odrę.

Gdzie się starli? No cóż, dokładnie nie wiadomo, ale chyba nie pod polską Cedynią, a pod leżącą sporo na zachód od Odry wsią Cednicą (Zeudenick), dziś w zasadzie to już na przedpolach Berlina. Tam akurat archeolodzy, jeszcze za czasów Niemieckiej Republiki Demokratycznej duże ilości „szkieletów z epoki” odnaleźli...

Jaki był przebieg bitwy, też dokładnie nie wiadomo. Niby kronikarz Thietmar coś tam o tej bitwie pisze, i niby wierzy się mu, bo w końcu jego ojciec Graf Siedgfried brał w niej udział, ale... Księga „Thule”, zaliczana do sag na równi z księgami „Eddy” i samą „Heimskringlą”, mówi o samej bitwie z Dagomerem, jak w wikińskim świecie Mieszka zwano coś, o czym Thietmar nie pisze. Otóż ponoć stanęły naprzeciw siebie obie armie, do boju ruszyły, gdy burza się rozpętała. Tak silna, że ponoć jeźdźcy końskich łbów nie widzieli. Pola przy wsi Cednica same z siebie podmokłe, bo niegdyś bagnem były i jedynie liche wały je w jakiej takiej suchości utrzymywały. Woda się z nieba niemiłosiernie lała, wały puściły i rychło się łąki bitewnego pola w bagno prawdziwe zamieniły. Niebiosy rozstrzygnęły, że zwycięzcy nie będzie. Topili się w bagnie jeźdźcy, topili się ciężej zbrojni wojowie, tylko tym „najlichszym” udało się ująć z życiem. Znaleźiska to potwierdzają – nieliczne odnalezione

szkielety mają ślady ran. Reszta jest jakby bronią nietknięta... Wodzowie, jak to wodzowie. Zapewne gdzieś z tyłu, na jakimś wzgórzu stali, więc im się nic złego nie stało. Cało i zdrowo wrócili do swoich siedzib, choć bez wojsk znaczniejszych.

Stało się tak, jak chciał cesarz. Jedni i drudzy mieli dość, jedni i drudzy wycofali się i uzgodnili, przez posłów, że tak zostanie, jak było. Mieszko za Odrę więcej nie poszedł, Hodon ustaloną za Karola Wielkiego granicę Słowian szanować zaczął, a cesarz miał wolną rękę na wojowanie z Bizancjum o wpływy w Italii. Może tylko Pomorze miało z tego jakąś dodatkową korzyść, bo się lepiej z Mieszkiem ułożyło. Wprawdzie zobowiązały się grody pomorskie Mieszkowi trybut płacić i jego władzę uznawać, ale nie było to jakoś „specjalnie wiążące”. Już za Bolesława Chrobrego, i to w samych początkach jego panowania, Pomorze w obszar wpływów korony duńskiej powróciło i do połowy XIII wieku w niej pozostawało, chociaż to właśnie od Szczecina, Kamienia (dziś Pomorskiego) oraz Kołobrzegu główne szlaki zaopatrzenia w zamorskie towary ku Polsce wiodły. Potem... zamienił stryjek siekierkę na kijek, tak można by losy Pomorza podsumować. Miejsce Duńczyków zajęli Szwedzi, którzy jeszcze podczas wojny trzydziestoletniej (1618-1648) nad Pomorzem od Słupska po Rostock panowali. I to właśnie z tej zachodniej części Pomorza wojnę z Rzeczpospolitą potopem szwedzkim zwaną zaczęli.

Skąd zatem pomnik pod Cedynią? No cóż, po 1945 roku władze Polski potrzebowały choćby i wymyślonych naprędce „akcentów historycznych” aby udowodnić, że te ziemie na wschód od Odry to od dawien dawna polskie, bo już mieszkowe były, i że przez ten bez mała (wówczas) tysiąc lat to Niemcy pchali się na wschód, niosąc Polakom wojnę. Propaganda? Jak najbardziej, choć jest w owym podkreśleniu niemieckiego „Drang nach Osten” sporo prawdy.

No cóż, dostał Mieszko po łapkach od Wikingów i Sasów, bo dostał. Jednego się chyba przy tym nauczył – czasem warto schować miecz i pójść w układy. O tym jeszcze będzie.

Håkon (Haakon, Haakan) Sigurdsson (Sigurds(s)en).

54



Na obrazie Christiana Krohga z ok. 1880 r. Drzeworyt został wykorzystany w norweskim wydaniu sag „Heimskringla.

Skoro w poprzednich rozdziałach przedstawiłem Haralda i znaczony konfliktem z Mieszkiem początki jego panowania, pora zaprezentować tego, który się do końca Haralda przyczynił, Håkona Sigurdssona. Był przez lata wiernym poddanym królów Danii, przede wszystkim Haralda Sinozębę, ale

podjudzony (prawdopodobnie) przez Olafa Trygvassona postanowił zbuntować się i objąć Norwegię w samodzielne posiadanie. Oczywiście za pretekst posłużyła "nowa wiara" i zbierane przez chrześcijańskich mnichów podatki - panowie norwescy powiedzieli "NIE!", co skończyło się wojną.

O samej wojnie trudno cokolwiek pewnego napisać, gdyż historycy datują ją między rokiem 978 a 985 (a niektórzy nawet i dziesięć lat później, choć biorąc pod uwagę rok śmierci Haralda możliwym to nie jest), jednak można te zdarzenia nieco "uściślić". Ktoś może powiedzieć, że opieranie się o sagi to głupota, ale dokładnie tak samo Heinrich Schliemann oparł się o dosłowne brzmienie "Iliady" Homera i odkopał Troję, wcześniej uważaną za piękny literacki epos i część greckiej mitologii.

Sagi mówią, że Duńczycy zaatakowali **króla Sasów Ottona** i zdobyli między innymi miasto Bremę. To zostało opisane w kronikach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego z datowaniem na rok 978. Adam z Bremy, mnich-kronikarz, który miał do dyspozycji księgi bremeńskiego biskupstwa, jest jeszcze dokładniejszy. Zdobycie Bremy nastąpiło w dwie niedziele po świętym Janie, w czwartym roku pontyfikatu Benedykta VII (czyli 978 rok nam się potwierdza). Zdobyli, złupili, ludność do odbudowy zniszczeń zapędzili i skromną wojskową załogę pozostawiwszy wrócili do Danii.

Można temu wierzyć. Okres wojowania był dość krótki. Wikingowie ruszali na wojnę w marcu lub kwietniu i wracali do domów w połowie lata, aby zdążyć na żniwa i okres późnoletnich lub wczesnojesiennych polowań czy połowów – bez zgromadzenia solidnego zaopatrzenia zimy by raczej nie przetrwali. Z całą pewnością w tymże 978 roku kolejnej wojny nie prowadzili.

Håkon mógł jesienią czy zimą wypowiedzieć posłuszeństwo Haraldowi, ale Harald musiał zgromadzić nowe wojsko. Pomimo zwycięstwa nad Sasami siły Duńczyków (może raczej Wikingów) zostały dość mocno nadwyżone. Dużo łodzi poszło na dno, jak zawsze, chciałoby się rzec. Proces budowy musiał potrwać, bo i pieniądze dla skutników trzeba było zgromadzić, i wyprawić się na południowe brzegi Bałtyku, gdzie właśnie zimą wycinano najlepsze drzewo na nowe łodzie. Przypuszczam zatem, że dopiero w 979 roku, gdy nowa flota była już gotowa, Håkon się zbuntował, a rok później zaczęła się wojna. Rok później, bo przecież Duńczycy też musieli rozesłać wici, zgromadzić zapasy jedzenia na wojnę, przygotować łodzie. Zatem ruszyli prawdopodobnie późną wiosną 980 roku!

Czemu nie później? Bo wiemy, że w 982 roku Otton koronował się w Rzymie na cesarza i postanowił odzyskać utracone ziemie Północnej Saksonii z Bremą. Uderzył w roku 983 (według kronik rzymskich i watykańskich), co sagi Wikingów odnotowały jako najazd **Cesarza Ottona II**! Niby wsio rybka, Otton II to Otton II, ale Wikingowie szanowali tytuły. Cesarz to cesarz. Król to król. Jarl to jarl. Żadnego tam mieszania. Skoro zapisane w nich raz tak, raz inaczej i skoro w kronikach Cesarstwa czy Watykanu też pisze się o Ottonie zgodnie z posiadanym przezeń w danym roku tytułem, znaczy się wierzyć można. Jeśli do tego dodać wspomnianego już Adama z Bremy, który zapisał, że Otton II najpierw Duńczyków zwyciężył a następnie na konklawe po Benedykcie VII do Rzymu podążył i tam zmarł, datowanie owej wojny między Danią a Cesarstwem można ściślej określić. Benedykt VII zmarł w lipcu 983 roku, Otton II – niespełna pół roku później, 7 grudnia.

Według wszystkich trzech źródeł - kronik i sag, wojska króla Danii zostały pobite, choć tylko na lądzie, gdyż Duńczycy, przezornie, woleli się od morza nie oddalać i gdy bitwa przybrała niekorzystny obrót, uciekli na łodzi. Wojska cesarskie łodzi nie miały, zatem nie było jak pokonanych Duńczyków ścigać.

Z cesarskich kronik wiemy, że Otton zarządził przygotowania do wojny z **pogańskim królem Danii** w Boże Narodzenie 982 roku a wojska cesarskie uderzyły, gdy tylko wiosenne roztopy minęły. Dzięki tym informacjom mamy kolejne wnioskowanie. Pod koniec roku 982 królem Duńczyków jest Swen Widłobrody. Poganin, bo chociaż ochrzczony powrócił do starej wiary i publicznie dary Odynowi i innym ważniejszym bogom wikińskiego świata ofiary składał, a chrześcijańskich mnichów po prostu wygnał. Albo wymordował. Lub pozwolił wymordować. Wniosek jest prosty. Przed bożym Narodzeniem 982 roku Harald, chrześcijanin, nie jest już królem Danii. Zatem wcześniej musiał przegrać z Håkonem i swoim własnym synem Svenem.

Z kolei z norweskich sag wiemy, że po zwycięstwie nad Haraldem Sinozębym Håkon zaproponował Duńczykom pokój. Mieli jedynie wygnać Haraldą, oddać tron jego (Haralda) synowi Svenowi Widłobrodemu i zgodzić się na niepodległość Norwegii.

Coś trzeba w tym miejscu wyjaśnić. Układy? Håkon idzie na układy? I to po **takim** zwycięstwie? Otóż właśnie tak! To nie była żadna tam formalność, a konieczność. Główną siłę wojsk Haraldą w wyprawie przeciwko Norwegom

stanowili Jomswikingowie i Wolni Wikingowie (tacy w połowie słowiańskiej krwi), pływający i handlujący po całym ówczesnym świecie. Zbieranina, w której rodowici Duńczycy stanowili niewielką mniejszość. To sprawiło, że jakkolwiek Harald przegrał, stracił głównie obce wojska i pieniądze. Mimo przegranej Harald miał w Danii wielu możnych i wpływowych stronników. Jelling było mocną jak na tamte czasy twierdzą, a cała środkowa część Półwyspu Jutlandzkiego była w rękach stronników Haralda. Nawet Håkon Sigursson musiał się liczyć z tym, że jeśli wejdzie ze swoim wojskiem na teren Danii, wszyscy się przeciw niemu obrócą. Będą po prostu bronić swoich domostw, grodów i ziem.

Dziel i rządź! Maksyma uknuta jeszcze za czasów Republiki Rzymskiej, miała się w tym wypadku sprawdzić znakomicie. Rzucając na stół propozycję pokoju w zamian za wygnanie Haralda, Håkon skłócił Duńczyków. Swen obiecywał przywrócenie tingów – temu akurat najwięksi wielmoże byli przeciwni. Ich absolutnie dziedziczna własność i władztwo nad grodami zależały od posiadania silnego króla i ograniczenia roli tingów. Chrześcijaństwo im to gwarantowało. Ale biedota i pomniejsi jarlowie byli jak najbardziej za. Dla nich powrót starych bogów z Odysem na czele i przywrócenie tingów oznaczało powrót do utraconych wpływów i bogactwa. Rozgorzała wojna domowa pomiędzy ojcem a synem, pomiędzy chrześcijanami a zwolennikami starych wierzeń. Sven, wspierany przez norweskiego buntownika Håkona Sigurdssona, zaczął odnosić sukcesy. Raz po raz dochodziło do potyczek pomiędzy wojskami ojca Haralda i syna Svena. Sagi opisują kilkanaście potyczek, zatem jakieś "dwa sezony wojenne".

Czyli: pod koniec 982 roku Sven Widłobrody jest królem Danii, w 983 przegrywa wojnę o Bremę i północne ziemie Saksonii z cesarzem Ottonem II, a wcześniej, w latach 981 - 982 toczy się wojna o tron Danii między nim a jego ojcem, Haraldem Sinozębym. To pozwoliło mi datować wojnę pomiędzy Haraldem a Håkonem na rok 980.

Ostatecznie stało się, jak chciał Håkon. Norwegia oddzieliła się od Danii, co Sven Widłobrody miał na tingu potwierdzić (słowo dane na tingu, słowo honoru Wikinga, miało wartość większą niż traktat na papierze spisany). Chrześcijanie zostali wypędzeni z Danii. Harald też został wygnany i zmarł w grodzie Wolin, najprawdopodobniej w 985 roku...

Sam Håkon wielkiego pożytku z tego zwycięstwa nie miał. Jego kompan, Olaf Trygvasson, popłynął na rabunek Anglii, obłowił się i żadnego króla w Norwegii nie chciał mieć. Miało zostać po staremu. Rody będą spotykać się w Kaupangen na tingu, ich przywódcy, jarlowie, spomiędzy siebie wybiorą „wodza” na kolejną łupieżczą wyprawę i tyle. Każdy jarl rządził u siebie. Håkon, jako że do norweskich jarłów królewskiej krwi się nie zaliczał, został zepchnięty na margines toczącej się z niesamowitą prędkością norweskiej historii.

58

Wzbogaciwszy się na Anglikach dostatecznie Olaf Trygvasson, prawnuk króla Haralda Pięknowiąsego do Norwegii na stałe powrócił. Tam sam się, koniec końców, królem Norwegii ogłosił. Ale nie na długo. Wdał się w wojenną awanturę ze Szwedami (których tym razem wsparli Duńczycy i Piastowie), a przegrywając bitwę wołał się w zbroi w odmęty wód rzucić niż pójść do niewoli.

Wielka wojna w świecie Wikingów. Harald kontra Håkon.

Trochę już o wojnie pomiędzy Håkonem a Haraldem Sinozębym było. Wiemy już kiedy i jak się skończyła. Pora dopowiedzieć o jej pierwszym epizodzie. Zaczęło się przepłynięciem cieśnin i atakiem na miasto portowe Vik. Vik zwykłym grodem nie było. Już pod koniec VIII i na początku IX wieku Wikingowie najeżdżali a to Irlandię a to Anglię i nie mogli wyjść z podziwu, że można domy i mury obronne z kamienia wznosić. U nich wszystko było drewniane. Ponieważ Vik było w tamtej epoce miejscem, gdzie po każdej wyprawie gromadzili się wszyscy Wolni Wikingowie i dokonywano podziału łupów, toteż niejedną raz, przy poważniejszych sprzeczkach, ogień miasto trawił... Ktoś wpadł zatem na pomysł, by Irlandia opłacała się mnichami znającymi sztukę budowania z kamienia i tak się stało. Między 850 a 950 rokiem Vik było pierwszym i – wówczas – jedynym wikingim miastem z kamienia.

Z tego powodu Vik było ważne. Raz, że miasto wikingim tingów. Dwa, że bogate. Trzy, bo otwierało drogę na Oslo i dalej na północ, ku Kaupangen (czyli Trondheim). Ponadto, kto trzymał władzę nad Vik (Vika czy Viken, bo różnie się runy odczytuje; chodzi po prostu o dzisiejszy Göteborg), miał też w ręku Cieśninę Duńską z Sundem. Mógł kontrolować płynących na Bałtyk i z niego wypływających. A że płynęli głównie kupcy, to i myto, odpowiednik dzisiejszego cła albo opłaty żeglugowej, pięknym strumieniem do kasy władcy płynęło...

Było poza tym Vik miastem-symbolem. Z niego bowiem wywodzili się norwescy królowie: Harald Pięknowłosa, jego syn Olaf Geirstadaalf, wnuk Trygve Olavsson, zamordowany zdradziecko na polecenie króla Norwegii (ale tej części od Oslo po dzisiejsze Trondheim) Harald Szarej Opończy, no i wreszcie prawnuk, choć urodzony na wschodzie, w Holmgårdzie, Olaf Trygvasson. Tam właśnie jego matka schroniła się po zabójstwie swego męża. Sagi opiewające Olafa Trygvassona mówią, że ponoć już w wieku 12 lat stał się na tyle dojrzałym wojownikiem, że łódź kupił, własną załogę skompletował i na Bałtyk, na rabunek wypłynął. Młodo zatem karierę Wikinga rozpoczął. Stał za Håkonem Sigurdssonem, zatem już jego imię oraz królewskie pochodzenie było

dla obrońców Vik znaczące. Było nadzieją, że nowi władarze Norwegii odetną się całkowicie od Danii i Nowego Boga. I nie będą przeszkadzać w zdobywaniu łupów podczas grabieżczych wypraw. Poza tym, skoro to właśnie Olaf Trygvasson, człowiek z rodu królów z Vik stał u boku Håkona Sigurdssona, to był jedynie znak, iż bogowie chcą powrotu prawowitych spadkobierców na tron królów Norwegii. Dopóki zatem Vik w norweskich rękach, będzie nadzieja na powrót króla.

Sagi przekazały imię obrońcy grodu i portu w Vik. Był nim Geirmund. Norweg z krwi i kości. Stał za Håkonem i Olafem Trygvassonem całym sercem, albowiem najlepiej wiedział, jak duże bogactwo miasto Haraldowi oddawało. W złocie, srebrze, skórach i bursztynie, czasem w jedwabiu, perkalach albo damasceńskiej stali na miecze przekutej. Wiedział, jak ważne jest zadanie, które mu powierzono. I walczył długo. Bronił miasta przez pół lata. Gdyby nie przypadek (opisałem to zdarzenie w książce „Die Ehrenmenschen. Ludzie Honoru”), pewnie by i obronił, bo nie dalej jak w połowie sierpnia większość duńskich wojsk popłynęłaby do domów, na żniwa i wczesnojesienne polowania. Wojna wojną, ale w zimie się nie wojuje, a coś jeść trzeba. Lepiej zapłatę stracić, a przeżyć. A że pańskie oko konia tuczy, wiemy wszyscy.

Jest w bitwie o Vik słowiański akcent. Otóż Geirmunda wesprzeć mieli Wikingowie z Jomsborga. Te nasze słowiańskie (choć nie tylko) wilki morskie, zbóje, piraci i najemnicy. Żelaźni chłopcy, jak o nich sagi mówią. Mieli swymi łodziami wejście do portowej zatoki zastawić i duńskie krypy topić. Mieli, ale tego nie zrobili. Poszli na kasę. Håkon „życzył” sobie ich udziału w wojnie jako przyjaciół, z którymi niejednym raz do boju stawał albo po łupy pływał. Olaf Trygvasson na przyjaźń i własną służbę w Jomsborgu się powoływał. Harald płacił lepiej, ba po prostu płacił. Håkon z Olafem jedynie udział w zyskach obiecywali. Mówią, że lepszy wróbel w garści niż gołąbek na dachu i rację mają. Przyjaźń przyjaźnią, honor – honorem, ale chłopcy z Jom dla pieniędzy wojują, bo honoru i przyjaciół „za słowo” to nigdy im nie brakowało. Przyjęli Haraldowych posłów i wysłuchali. Potargowali się z nimi zapewne i targu dobili. Niemało złota zapewne dostali, bo do najdroższych zaliczani byli. Bo najlepsi „zbóje do wynajęcia” od Bałtyku po Islandię. Wsparli zatem Haralda pod Vik, popłynęli razem z nim ku Oslo, do zatoki Hjørungavaag. I, tak jak większość duńskiego wojska, poszli tam na dno.



Geirmund pokazuje Håkonowi Sigurdssonowi swoje rany jako dowody własnego męstwa i zdrady Wikingów z Jomsborga. Tak właśnie zatytułowana jest rycina Christiana Krohga „Geirmund bringer Håkon jarl bud om jomsvikingerne” pochodząca z norweskiego wydania sag „Heimskringla”.

A potem? No właśnie, Vik zostało zdobyte, obrabowane, czas jakiś Harald w zdobytym mieście odpoczywał, ale raczej krótko. On też znał, co to pory roku. Dał ludziom odpocząć i zarządził „wsiadanego na łodzie”. Popłynęły służące Haraldowi łodzie na północ, w stronę fiordów i zatok oddzielających Oslo od Sundu. I to właśnie gdzieś tam leży owa zatoka Hjørungavaag, w której czy to siły natury same z siebie, czy też, jak chce „Heimskringla”, z pomocą bogini Yrpy z jej ukochanym Thorgerdrem większość duńskich łodzi na dno posłały.

To był właściwie koniec tej wojny. Potem zaczęły się inne. W Danii – ojca Harald z synem Svenem o tron. W Norwegii też spokoju nie było. Niby Odyn z rodziną na swoje miejsce w świątyniach wrócili, niby jarlowie władzę i znaczenie odzyskali, ale duńskiego bogactwa nie zakosztowali, a przecież

wojna z Haraldem drogo ich kosztowała. Pływali zatem Norwegowie po łupy. A to do Anglii, a to na południowe brzegi Morza Północnego, do Belgii, do Normandii, ale do bezpiecznych owo zajęcie nie należało. Raz po raz ktoś ginął, a przecież życie pustki nie znosi. Ziemia po poległych zostawała, więc się sąsiedzi o nią za łby brali. Raz się jeszcze, dwa lata po zwycięstwie w zatoce Hjårungavaag Norwegowie w wielką armię zebrali i górami na Szwecję poszli. Nie dał się jednak król Eryk zaskoczyć. Poszedł ze Szwedami Norwegom naprzeciw i wygrał. Ponoć cudów w owym boju w górach swoim toporem dokonywał, ale też i cel miał zacny. Saum-Aesa, córka mieszkowa Świętosława, syna Olafa mu powiła. Jak każdy król-ojciec chciał swojemu potomkowi bezpieczne panowanie zapewnić. Poszedł zatem walczyć i wygrać, i wygrał! Mało kto z Norwegów z tamtej wyprawy do domu powrócił...

Mieszko sięga po stare idee.

Czy pamiętacie jeszcze rozdział o Haraldzie Sinozębym, który kończyłem stwierdzeniem, że została po nim idea zjednoczenia wszystkich nadbałtyckich ziem? No taka może troszkę rozszerzona Unia Bałtycka, bo obejmująca Norwegię? Harald rady nie dał. Szwecja też nie miała na to szans. Była zbyt mała, a utrzymanie niepodległości od Duńczyków czy Norwegów dużo ją kosztowało. Norwegia czyniła wszystko, aby się tak od Duńczyków uniezależnić, a na Szwecję to raczej poprzez pryzmat celu łupieżczej wyprawy patrzyła. Trzech skłóconych sąsiadów... Ktokolwiek próbował to zmienić, wybuchała wojna i kończyło się, jak zawsze – nikt niczego na trwałe nie osiągał, ludzie ginęli, a każdy król sam sobie rządził.

Patrzył się na to Mieszko i wiedział (po Cedynii też nie miał złudzeń – wojną rady nie da!), że jego szansą jest przymierze. Wzorce, tak się zdaje, miał. Przecież małżeństwa Piastowiczów z wikińskimi dziewczynami do rzadkości nie należały. Sam Mieszko miał przed Dobrawą inne żony, zdaje się że i z wikińskich królewskich rodów też. Syn to syn, wiadomo, następca tronu. Był Bolesław jego oczkiem w głowie. A córki? Toż to bogactwo! Można taką za wikińskiego króla za mąż wydać i mieć tam, na obcym niby tronie, swoją rzeczniczkę. A jeśli da syna (oby!!!), on będzie następcą tronu. No co, z rodziną dziadka się nie dogada? Z krewnymi na udry pójdzie? A niechże się zatem córki szykują do odegrania swojej roli. Mówi się, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Jak będzie chłopak przez matkę odpowiednio wychowany (oby ino poród i połówg przeżyła), to jak władzę obejmie, łatwiej będzie z takim negocjować. Nie mnie, Mieszkowi, księciu, ale Bolesławowi, następcy tronu, który oby z rąk cesarza królewską koronę otrzymał i był tamtym królom rangą równy. Bo przecież królowa-matka za swym bratem Bolesławem optować u młodego króla będzie, a kto matce rodzonej odmawia?

Aha, no i niech się dziewczucha i do tego szykuje, że tamtejsi mężowie długo nie żyją. Dużo piją, suto jedzą, szybko z tego świata schodzą... Więc niech wie, że jak do jednego króla za żonę pójdzie i wdową zostanie, ma szybko następcę tronu wychować i za mąż za władcę z sąsiedniego królestwa pójść.

Stało się, jak Mieszko chciał, a padło na najstarszą córkę, Świętosławę. Była, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, starszą siostrą Chrobrego, więc gdy Norwegowie z Duńczykami za łby się wzięli, była w idealnym wieku do

zamążpójścia. Wybór padł na tego trzeciego, który akurat nie był w żadną wojnę uwikłany, Eryka króla Szwecji.



Eryk VI Zwycięski na rysunku z 1850 r. pochodzącym z książki Gustava Henrika Mellina „Den Skandinaviska Nordens Historia” (Historia Północnej Skandynawii).

Zwycięski, gdyż kilku braci w walce o koronę pokonał (skutecznie; zabijał bez litości dla pokonanych).

Natomiast czemu VI? Tego nie wiemy. Dopiero w XVI wieku, po odłączeniu się od Danii, gdy na tronie zasiedli Wazowie, wprowadzili oni w Szwecji zwyczaj „numerowania” królów o takich samych imionach. O poprzednich pięciu Erykach właściwie nic nie wiemy.

Polscy historycy przez wiele lat uważali postać Świętosławy za mit, legendę, ale Skandynawowie, Czesi i Anglicy (sic!) nigdy w jej istnienie nie wątpili. Czesi uważają, że przyszła na świat gdzieś z początkiem 965 roku, bo Dobrawa trafiła do Mieszka, wedle czeskich historyków, trzy tygodnie po Wielkanocy 964 roku; wprawdzie jakoś przyjęło się w Polsce uważać, że przybycie Dobrawy i chrzest Polski to ta sama data, ale tak nie było. Pozycja Dobrawy na dworze Mieszka wcale silna nie była – miała dać syna. Gdyby nie urodziny Chrobrego, pewnie by została odesłana do domu a do chrztu Mieszka i jego państwa doszłoby przy całkiem innej okazji. Jeśli tak istotnie było, to w 980 roku miała około 15 lat. Zgodnie z ówczesnym obyczajem (i biologią zresztą też) była już zatem całkiem dojrzałą do małżeństwa (i rodzenia dzieci) kobietą.

Oczywiście nie sposób wyobrazić sobie Wikinga, który jej słowiańskie imię umiałby poprawnie wypowiedzieć (no chyba może tylko Olaf Trygvasson, bo ten na Rusi był wychowywany, u Mieszka na dworze bywał, więc

słowiańskie języki zapewne obce mu nie były). Dlatego przeszła do historii jako Sigrid Storråda, Gunhilda albo Saum-Aesa. I zrobiła dokładnie to, czego Mieszko od niej oczekiwał. Króla Eryka obdarowała synem, Olavem (albo Olafem). Przeszedł do historii z przydomkiem Skötkonung, zbierający podatki.

Miał rację Mieszko zauważając, że wikińscy królowie długo nie żyją. Ale pomylił się co do przyczyny. Przynajmniej w tym wypadku. Otóż Eryk, który za namową Mieszka uwikłał się gdzieś w 988 roku w konflikt zbrojny z Duńczykami odciągając ich od południowych wybrzeży Bałtyku, które Mieszko akurat najechał, złożył ponoć śluby, że jeśli wygra z Duńczykami, złoży siebie w ofierze Odynowi, najpóźniej w dniu, w którym jego syn Olav ukończy 14 lat. I tak ponoć zrobił, w 995 roku.



Wdowa po Eryku Sigrid Storråda naucza swojego syna Olava - rysunek z 1850 r. pochodzący z książki Gustava Henrika Mellina „Den Skandinaviska Nordens Historia”.

Świętosława zachowała się jak należy. Istotnie objęła dorastającego syna opieką, a gdy ten ukończył lat 15 – oddała mu królewską władzę, kończąc okres regencji. A dalej wszystko potoczyło się zgodnie z planem Mieszka. Chcąc zabezpieczyć nieletniego Olava przed groźbą duńskiego najazdu wysłała posłów do Jelling i ... uzgodniła warunki poślubienia Svena Widłobrodego, syna Haralda Sinozębego! Swen akurat skończył rozprawę z Norwegami. Jarl Håkon Sigurdsson zginął, Olaf Trygvasson walczył jeszcze, ale został zepchnięty ku królestwu Hålogaland, gdzieś daleko na północ, pod same Lofoty, tam gdzie Narwik i Tromso. Wiele stamtąd zdziałać nie mógł, bo ziemie tam wprawdzie rozległe, reniferów w bród, ale ludzi – jak na przysłowiowe lekarstwo. A do tego większość owych ludzi to miejscowi poganiacze renów, Lapończycy, ludzie żyjący w zgodzie z naturą i od broni stroniący.

Sven Widłobrody narzekać na Piastównę nie mógł. Dała mu pięcioro dzieci, z których dwaj synowie zostali królami. Harald II Svensson został królem Danii i Norwegii. Knut (Knud, Kanut) – królem Anglii!

No cóż, trzeba to w tym miejscu bardzo starannie zaznaczyć – jeszcze za panowania Bolesława Chrobrego zaistniała przeogromna szansa na stworzenie olbrzymiego na owe czasy imperium rodzinnego Piastów.

Chrobry zdołał w międzyczasie zdobyć na Czechach ziemie Śląska i Moraw, rozszerzył swoje panowanie na wschodzie, odbijając Grody Czerwieńskie i nawet zdobywając, choć na krótko, Kijów.

Olof Skötkonung powiększył terytorium Szwecji o cały interior, znaczną część dzisiejszej Finlandii (w zasadzie cała nadbałtycka Finlandia stała się szwedzka).

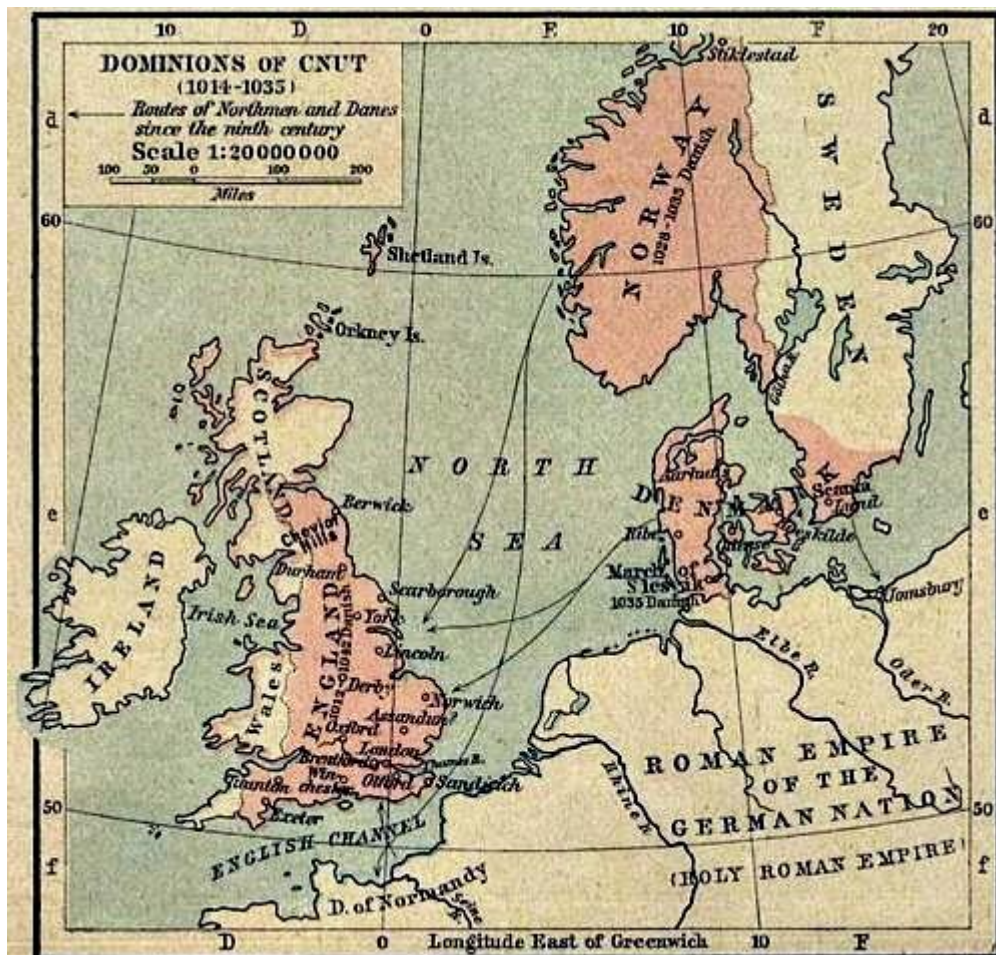
Sven wygnał wprawdzie Świętosławę ze swego królestwa (ponoć miały wyjść na jaw jakieś pikantne szczegóły jej rzekomego romansu z Olavem Trygvassonem, ale raczej powodem było to, iż będąc kobietą około 50-letnią więcej dzieci już mieć nie mogła; jakoś mieściło się w granicach ówczesnych norm wyrzucanie z dworu i tronu nieplodnych kobiet... no cóż, takie czasy), ale długo się „wolnością” i nową królową nie nacieszył. Popłynął do Anglii na podbój i po łupy, został ranny, po czym wkrótce zmarł. W 1016 roku Świętosława wróciła do Danii jako królowa-matka Haralda II Svenssona, ale postanowiła dopomóc Knutowi w dokończeniu podboju Anglii i objęciu tamtejszej korony.



No cóż, co kraj to obyczaj, chciałoby się powiedzieć.

Pochodząca z roku 1058 ilustracja z kroniki opactwa Oxford nosi dość znamienity tytuł. Królowa matka Sygryda i król Kanut Wielki świętują śmierć króla Ethelreda...

Anglia. Dania. Norwegia. Szwecja. To już mogłoby się wydawać wystarczające, by stworzyć przeciwagę dla niemieckich cesarzy i królów.



Powyższa mapka (za: The Public Schools Historical Atlas by Charles Colbeck. Longmans, Green; New York; London; Bombay. 1905) pokazuje tylko królestwo Knuta Wielkiego, choć nieco tendencyjnie, bo Danią i Norwegią władał jego brat, Harald. Ale jeśli do tego dodać Szwecję z przyrodnim bratem Olafem na tronie, Normandię też pod wpływami Wikingów pozostającą oraz ziemie polskie, rządzone przez wujka Bolesława Chrobrego, była szansa na stworzenie niesamowitej potęgi.

68

Dziś już wiemy, że wikińska karta stała się niewykorzystaną szansą. Chrobry, przy wielu innych zaletach, nie dał się Mieszkowi należycie wyedukować. Nie rozumiał, że można stworzyć imperium poprzez rodzinne związki. Uznawał jedynie siłę miecza i wojennej zdobyczy. Zresztą chyba nie było w tym winy samego Chrobrego. Wzorował się na ojcu, który najechał Czechy, gdy tylko Dobrawa zakończyła swój żywot a on, Mieszko, już inne małżeństwo miał w głowie...

Zjednoczyciele i państwowotwórcy.

Wiem, jakieś neologizmy mi wyszły, ale chciałem zwięzłym słowem, no może dwoma, określić te właśnie cechy ludzi z wikińskiego świata. Bo niby podzieleni na maleńkie księstwa jarłów i niewiele większe królestwa, niby wiecznie walczyli ze sobą, ale to u siebie. Bo gdy płynęli gdzieś poza ten wikiński świat, gdy zdobywali nową przestrzeń i postanawiali się tam na stałe osiedlić, zupełnie inne wartości im przyświecały.

Ruś. Kijowska czy Nowogrodzka, po prostu Ruś. Wcześniej grupy maleńkich plemion i osad ze sobą walczących. Wszystkie poddały się najazdowi Wikingów. Może i je na początku złupili, ale później? Stali się w nich Wikingowie założycielami silnej władzy państwowej. Zjednoczyli te rozproszone maleństwa w jedno silne państwo i dali mu jeszcze ród władców – Rurykowiczów. Ród, z którego aż po XVII wiek pochodzą wszyscy kolejni carowie. Aż do Wielkiej Smuty. Nie narzucili tam swojej mowy czy obyczajów. Wikińscy władcy i dostojnicy doskonale się ze swoim ruskim – słowiańskim ludem zespolili. Tak doskonale, że nie przetrwały w języku rosyjskim jakiegokolwiek naleciałości z języków świata wikińskiego.

Anglia. Też przed zdobyciem przez Wikingów była zlepkiem księstw, hrabstw i królestw, z których większość miała wielkość przeciętnej gminy. Najazd duńskich Wikingów pod wodzą Kanuta Wielkiego zlikwidował owe rozczłonkowanie. A gdy władza jego potomków zaczęła słabnąć, inny Wiking, Wilhelm z Normandii, Wilhelm – Bękart, Wilhelm – Zdobywca przeprawił się przez Kanał Angielski (La Manche) i dokończył to, co Wikingowie z duńskiej dynastii Jellingów rozpoczęli. Dał ówże Wilhelm początek dynastii Plantagenetów, która z biegiem stuleci włączyła pod swoją koronę Walię, Szkocję i Irlandię.

Normandię angielscy władcy uznawali za swoje ziemie aż po XV wiek. Wojna stuletnia musiała wybuchnąć, aby Normandia została ostatecznie włączona do Francji. Ale ich ślady, w tym językowe naleciałości, pozostały w lokalnej gwarze do dziś. Musiało to być dobre władanie, inaczej ludzie sami z siebie odrzuciliby wszystko, co wikińskie.

Wikińskie państwo na **Sycylii** przetrwało wiek. Może i tylko wiek, ale był to okres wojen papieża z cesarstwem, wojen krzyżowych i ogólnego niepokoju w basenie Morza Śródziemnego. Przy okazji był to wiek niezwykle szczególnego rozwoju tej wyspy. Właśnie na Sycylii pokazali wikińscy władcy, że można stworzyć takie państwo, którego mieszkańcy będą mieli pełną swobodę w wyznawaniu religii (byli na Sycylii łacinnicy-katolicy i prawosławni, Żydzi i Arabowie, też różne odmiany islamu wyznający) i kultywowania swoich obyczajów w mowie czy stroju. Do dziś w wielu krajach wcale nie jest to ani łatwe, ani oczywiste. Syria z Damaszkiem czy Izrael-Palestyna z Jerozolimą są najlepszymi przykładami, jak trudno ludzi różnych kultur i wierzeń pogodzić, mimo że od wieków po sąsiedzku żyją, mieszkają, pracują i ... umierają.

Polsce i Piastom dali siłę swoich wojów, kowali i przywiezionych z dalekich wysp Irlandii czy Anglii niewolników, którzy potrafili budować z kamienia. Mieszkowi zbudowali pałac, katedrę i baptysterium... Co by nie powiedzieć, przyczynili się tym do wzmocnienia państwa Mieszka i Bolesława Chrobrego.

Zmierzch bogów.

Dlaczego zniknęli? Co zahamowało ich rozwój? No cóż, chyba Piastowie do spółki z chrześcijaństwem.

Dlaczego Piastowie? No cóż, po śmierci Mieszka i Chrobrego zmieniły się „priorytety polskiej polityki”. Po śmierci Chrobrego nastąpiła w Polsce epoka walk wewnętrznych między synami Chrobrego, Bezprymem, Mieszkiem II Lambertem oraz pomiędzy Kazimierzem Odnowicielem a polskimi możnowładcami. Piastowscy książęta i królowie skupili się przede wszystkim na obronie dziedzictwa i nie mieli zwyczajnie głowy do podejmowania prób uczynienia z Polski oraz królestw rządzonych przez potomków Świętosławy wspierającej się „unii”. Już Chrobry, niestety, zaniedbał sprawy dynastyczne i nie zadbał o to, aby Piastówny trafiły na dwory Szwecji, Danii czy Anglii jako żony następców tronu.

Syn Piastówny Świętosławy i Svena Widłobrodego, Harald II Svensson, nie zdążył ożenić się jako król Danii ożenić i zmarł bezpotomnie, a tron duński objął Kanut Wielki. Też syn Świętosławy i Svena. Gdy obejmował tron Danii, Chrobry walczył w tym czasie o Kijów i Grody Czerwieńskie, był zatem zajęty na wschodzie. Nie uzgodnił zawczasu małżeństwa Kanuta z córką Matyldą lub którąś z wnuczek Mieszka (od żon z czasów przed Dobrawą...), zatem na tronie żony króla Anglii i Danii zasiadła potomkini Wikingów z Normandii, Emma.

W 1035 roku zmarł Kanut Wielki, od 1018 roku także król Danii. Pozostawił po sobie liczne potomstwo, przy czym tron Anglii miał przypaść Haroldowi I zwanemu Harefoot czyli „Zajęcza Stopa”, natomiast tron Danii objął jego starszy i przyrodni zarazem brat, Kanut III zwany Hardekanut, Surowy, od 1040 roku także król Anglii. W roku 1042 wraz z jego śmiercią kończą się rodzinne związki Piastów z królami Anglii, gdyż tron angielski obejmą Wikingowie z Normandii.

Nie inaczej poszło w Szwecji. Olaf Skötkonung, siostrzeniec Chrobrego a wnuk Mieszka, z niepokojem obserwował przejmowanie przez Chrobrego części grodów Pomorza, szczególnie ważnych portów handlowych. Sam poślubił księżniczkę obodrzycką Astrydę, córkę władcy pogańskich (znów) Słowian Połabskich, władających ziemiami od Szlezewiku-Holsztynu z Lubeką, Hamburgiem i Rostockiem po granice dzisiejszej Brandenburgii. Ten związek automatycznie zatrzymywał Chrobrego w ewentualnej rozbudowie państwa na

kierunku północno-zachodnim, ku Danii. Chcąc wzmocnić swoją pozycję wobec Piastów, doprowadził Olaf do małżeństwa swojej córki Ingegerdy z ruskowskińskim księciem Jarisleifem, znanym w polskiej historii jako władca Rusi Kijowskiej Jarosław Mądry. Działo się to w czasie nasilającego się konfliktu pomiędzy państwem Chrobrego a Rusią, zatem można to odczytywać jednoznacznie – Olaf stanął po stronie wrogów Chrobrego.

A jak chrześcijaństwo przyczyniło się do „upadku” świata Wikingów? Zaczniemy od kwestii obyczajowych. Wikingowie byli ludźmi żyjącymi ze swoimi bogami za pan-brat. Targowali się nimi, rozmawiali poprzez odczytywane przez kapłanów znaki, czasem obrażali się na bogów a czasem, jak król Eryk, nawet i siebie samych w ofierze składali. Wikingowie mieli do swoich bogów zaufanie. Lubili ich.

W średniowieczu teologia chrześcijańska nakazywała bać się Boga, do dziś zresztą tak jest. Przyjmując chrześcijaństwo Duńczycy, Norwegowie, Szwedzi i Islandczycy musieli przyjąć też zasady wychowania i postępowania, „reguły gry”. One stały w sprzeczności z tymi wartościami, które wikińskie społeczności wyznawały i kultywowały przez wieki.

Chrześcijaństwo „ustabilizowało” granice państw i stref wpływów w Europie. Oczywiście wojny pomiędzy państwami wybuchały raz po raz, ale rysował się już wtedy zarys docelowych granic. W Skandynawii szczególnie. Dania to Półwysep Jutlandzki z przylegającymi doń wyspami, z południową granicą wyznaczoną dawnym Wałem Danevirke, wzorowanym na Wale (lub Murze) Hadriana systemem umocnień na linii wschód – zachód, od Flensburgskiego Fiordu po wyspę Sylt. Budowę tego wału rozpoczęto w 737 roku i kontynuowano przez kolejne 300 lat. Czasem Duńczycy przesuwali ową granicę na południe, ale prędzej czy później Sasi wracali na swoje. Tak było ponad tysiąc lat temu i ta linia graniczna, bez większych zmian, przetrwała do dziś.

Szwedzi z Norwegami problemu granicznego nie mieli – wysokie Góry Skandynawskie oddzielają obydwaj kraje od siebie szerokim na ponad pięćset kilometrów pasmem...

Chrześcijaństwo przyniosło Skandynawom feudalizm. Dawniej młodszy synowie, którzy nie mieli szans na objęcie ziemi po ojcu (bo wszystko dostawał najstarszy), wsiadali na łódzie i szukali dla siebie miejsca w świecie. W świecie feudalnym to nie było możliwe – każda para rąk miała do odrobienia swoją dolę

pańszczyzny tak na polu pana jak i księdza. Zaczęło narastać przeludnienie połączone z niedostatkiem żywności. Na kilkaset lat skandynawska wieś stanie się bardzo, ale to bardzo uboga.

W lepszej sytuacji byli ci, którzy nie posiadali ziemi, a żyli z morza. Pozostali wprawnymi żeglarzami, nadal łowili ryby czy morskie zwierzęta, ale zgasła w nich ta radość „na przygodę, nieznaną, na nowe odkrycia i wyzwania”, a to było największą siłą Wikingów. Pływali nadal po morzach i oceanie, lecz i oni musieli daniny na rzecz właścicieli grodów portowych i kościoła płacić. Zubożeli, nie budowali nowych typów statków, a tu pod bokiem rosła im konkurencja. Najpierw żeglarze weneccy wyparli całkowicie Wikingów z basenu Morza Śródziemnego, krótko potem Anglicy do spółki z Normanami przejęli trasy handlowe z tegoż właśnie Morza Śródziemnego do portów Morza Północnego. Około 1130 roku powstała pierwsza HANZA zwana niderlandzką. To położyło kres prowadzonemu przez Wikingów „międzynarodowemu” handlowi. Ich łodzie stały się środkami komunikacji wewnętrznej między Danią, Norwegią, Islandią, Grenlandią, Szwecją i Finlandią...

Wszystkie te zmiany w Europie położyły kres wikingowaniu. Żaden król nie chciał tolerować tego, by jego własny poddany pływał, gdzie mu się podoba i grabił, czy to jego własne ziemie, czy ziemie „zaprzyjaźnionych” władców. Najazd choćby grupki Wikingów na obce państwo mógł być powodem wybuchu wojny i utraty tronu. Chrześcijaństwo wraz z feudalizmem i ukształtowaniem się polityki państwowej w nowożytnym znaczeniu (określone traktatami granice państwa) oraz postępująca urbanizacja, zastępująca drewniane konstrukcje kamieniem zamknęły Wikingom możliwość życia w starym stylu. Dobrze zorganizowane państwa przestały się bać pirackich najazdów, nauczyły się skutecznie im przeciwstawiać.

To chyba główne przyczyny, dla których Wikingowie, niegdyś mężni, dumni, groźni i budzący strach, stali się potulnymi, bogobojnymi chrześcijanami, żyjącymi w biedzie w przekonaniu, że to kara boska za grzechy ich i ich przodków.

Mieli Wikingowie trwające blisko 300 lat swoje „5 minut na scenie Europy”. Mieli, ale nie potrafili tego wykorzystać. Żyli „tu i teraz”, troszcząc się bardziej o swoje miejsce w Walhalli, troskę o przyszłość pozostawiając tym, którzy w niej będą żyli. No cóż, czas i życie płyną jak bystra rzeka, świat się zmienia a oni chcieli żyć jakby w spokojnej sadzawce. To się nie mogło udać.

Zapomnijmy zatem o obrazie Wikinga – rabusia, bandyty i zbroja. A może nie, nie zapominajmy, bo i ten obraz jest prawdziwy. Ale to tylko drobny puzzel. Bo obok niego jest jeszcze wiele innych obliczy Wikingów, o których też należy pamiętać. Innych puzzli, które starałem się choćby naszkicować, aby pokazać w ten sposób piękno wikińskiego świata i ich samych.